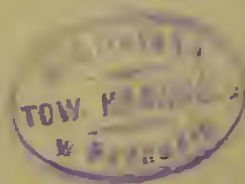






OJCIEC MATEUSZ.





# OJCIEC MATEUSZ.

---

OBRAZEK HISTORYCZNY  
Z CZASÓW MIECZYSŁAWA I.

Z POWIEŚCI J. KRASZEWSKIEGO: LUBONIE

OPRACOWAŁ

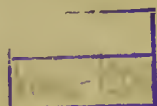
S. W.

---

→ WYDANIE DRUGIE. ←

---

POZNAŃ.  
DRUK I NAKŁAD JAROSŁAWA LEITGEBRA.  
1892.



## I.

Powieść niniejsza przenosi nas w czasy, kiedy Polska pogrążona jeszcze była w ciemnościach bałwochwalstwa, i zdala tylko zaczęło przyświecać gdzieś światło wiary chrześcijańskiej. Ci co się byli ochrzcili, uchodzili wśród ludu pogańskiego za zdrajców i czyhano tylko na to, żeby ich się pozbyć jako wrogów. Niebezpiecznem więc było przyznawać się do chrześcijaństwa i głośno mówić o niem, bo w pojęciu pogańskiego tłumu wiara ta prowadziła wprost pod panowanie cesarza niemieckiego. Duchowieństwo przybywające z zachodu niesło także ze sobą pojęcia o posłuszeństwie i władzy wyższej. Nawykli do rządzenia sami sobą władcy i kmiecie, ci co razem w ręku mieli patryarchalną władzę kapłańską, z rąk jój wypuścić wzbranił się stanowczo. — Nie tyle starych bożków żałowano, co dawnego obyczaju.

Było to na początku lata r. 962. We wsi Krasnogórze, położonój o kilka mil od Poznania, wśród rozległych lasów, które wówczas całe pokrywały brzegi Warty i Obry, wielką obchodzono

uroczystość. Jedyny syn dziedzica starego Lubonia powrócił niespodzianie w rodzinne progi po dwunastoletniej niewoli u Niemców. Ucieszony ojciec zaprosił wszystkich sasiadów i znajomych, aby z nim dzielili radość. Ponieważ dworek w Krasnejgórze nie był zbyt obszernym, więc postawiono stoły w lasku poza dworem i tam się odbywać miała wesola biesiada.

Do przyjęcia gości nie wiele było wówczas potrzeba, gdy wszyscy z jednej czerpali misy i mięso krajali nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki służyły do napoju, a z wytoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Zamiast w kuchni, piekły się u ogniska na podwórku całe kozły, barany, jelenie i dziki.

Już od rana dziedzic Luboń w najpiękniejszym swym stroju, ze sukna cienkiego, sznurami i taśmami szytym, rozglądał się w okolo domu. Taki sam ubiór kazał dać synowi i nieczyk mu sam przypasał. Ale serce ojcowskie pomimo radości z powrotu jedynaka ścisnęło się boleśnie widząc, jaka w tej niewoli niemieckiej stała się z nim przemiana. Nie był to już ów dziarski szesnastoletni jego Włost ukochany, którego Niemcy w czasie napadu na te okolice zabrali, ale młodzienczek bladej i wątłej, tak zniewieściały, że się wzdygnął przypasać miecz do boku. Na zapytanie ojca i babki starzej, Dobrogniewy, co się z nim działo w czasie długiej niewoli, odpowiadał jakoś nieśmiało, ciemno i niewyraźnie, i łatwo było poznać, że mu tam trochę serca zostało u lu-



dzi, do których przywykł, bo na obyczaj i na ich wiarę, jakoś i na życie z nimi nie narzekał wcale, a chwalił wiele rzeczy, które tu były w ohydzie, potęgę zaś cesarzów i książąt tamtejszych przedstawiał jako wielką i straszną. Pomimo téj zmiany syna stary Luboń cieszył się nadzieją, że jego Włast ukochany odzyska pomiędzy swymi dawną swobodę i dzielność, i to też głównie spowodowało do sproszenia na biesiadę sąsiadów. Już kilku z bliższych znajomych przybyło i rozmawiało w podwórku z gospodarzem, na syna spoglądając a żałując się nad nim, iż tak błady i mizerny powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty człowiek, wesołego oblicza, i oznajmił Lubonowi szczęśliwą nowinę, że Mieszko, pan najmiłościwszy, zasłyszawszy, iż będzie biesiada, sposobi się także przybyć tu, choć nieproszony.

Luboń pobladł trochę i pocierał czoło.

— Wielka to cześć dla mego domu — rzekł — miłościwego pana gościć.

— Miłuje bo on Was nad innych — odparł zasapany poseł.

Luboń głowę skłonił, ale na twarzy jego więcej było widać zakłopotania niż radości. Poseł zaś ręką pozdrowiwszy wszystkich, stojących do koła, wyjechał spiesźnie z podwórza.

Luboń znikł też zaraz. Poszedł do małej komnaty, w której stara Dobrogniewa siedziała przy kądzieli.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć

cześć wielka. Książ Mieszek przybędzie dziś do nas... A nie co innego go tu przynęciło, tylko nasza Różana, bo mu już pewno o jej piękności doniesiono... Niechże się wnuczka twoja schowa... tak jakby jej nie było.

Dobrogniewa wstała natychmiast, odłożyła kądziel i poszła szukać wnuczki. Było wówczas w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, przynosiły jadło i napoje, lecz do stołu z mężczyznami nigdy nie siadały. Więc Różana, jako gospodyni domu, chcąc wystąpić świetnie, ubierała się właśnie w swój komnatce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje leżały porozrzucone. Różana tylko co lśniące zwoje jasnych włosów splotła w warkocze i włożyła już wianek ruciany, gdy ukazała się starucha na progu.

— Różano — rzekła — dość już tego stroju... bo ci dziś rumianego liczka na gorące słońce nie wystawiać. Zaświeci tu dziś nam zapewne, że spalić może od razu i twarzyczkę ładną i wianuszek zruszyć. Niech Różankę głowa zaboli. Bezpieczniej siedzieć w chłodzie, kiedy skwar dopieka.

Dziewczę patrzyło zdziwione, a babka przystąpiła szepcąc:

— Mieszko książ przybędzie tu... już o nim ojciec wie, i nie chce, abyś się pokazywała.

Stało dziewczę i łzy jej w oczach stanęły.

— Cóż to, żal ci? — zapytała starucha — ej czegoż znowu? Wleż na strych, a przez otwór w dachu będziesz wszystko widziała, bo ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Różana siadła na tapczanie i zwiesiła główkę.

— Wola pana i ojca... będę posłuszną — odezwała się — ani mi tak bardzo żal; aleby mnie też kniaź nie zjadł oczyma.

Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz. przepiórko młoda — mruknęła — oczy jedzą! oj, jedzą! a z kniaziami dziewczętom nie żartować... A ty jesteś przecież jedyną radością ojca, bo z tego odnalezionego syna, z tego Własta, nikomu nie będzie pociecha.

Widząc dziewczę zasmucone, stara pogłaskała je po głowie, westchnęła i powoli wyszła z komnaty.

W podwórku pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiedzi bliscy i dalecy. Każdy miał z sobą ludzi i koni nie mało, i ta gromada czeladzi była jeszcze większą niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało, gdzie już piwo stało w beczkach, chleb i różne mięsiwa, wesołość większa była, niż między panami.

Już słońce miało się ku południowi, gdy posadzony na strzesze sługa, aby zdala o kniaziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się toczy. Luboń tedy z synem i powinowatymi wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczestnie.

Kniaziewie ówcześni mieli już wcale iuną władzę niż dawniej. Sto lat wojen z Niemcami i z sąsiadami, choć jednego rodu, niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny, co go otaczał, a o wiecach dawnych, radach

i swobodzie ledwo śmiał się ktoś odezwać. Jak w czasie wojny kniaź był już panem życia, śmierci i majątności, a choć zważał na to, aby ludzi nie drażnić, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynąć, a co poczynął zwykle dokonał.

Mieszko, wjeżdżając z orszakiem do Kraśnej-góry, zwolnił bieg siwego rumaka i z pańska głowę do góry podniosłszy, jechał uśmiechając się wesóło.

Odziany był płaszczem letnim, a na sobie miał odzież letnią, wyszywaną bogato, pas cały pokryty złotymi ozdobami i pióra białe u czapki. Miecz też u pasa w pochwie złoty wisiał, sadzony kamkami drogiemi. Na koniu siedzenie było purpurowe, lejce także trzymał w ręku. Mieszko w samą był siłę wieku, przystojny i urodziwy, brodę miał ciemną, podstrzyżoną, włos piękny, długi, spadający na ramiona; oko, choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłę i dobroć wyrażając. Usta rumiane i wydatne zdawały się stworzone na to, aby smakowały we wszystkim, co im świat jako panu podawał. Choćby na sobie nie był miał Mieszko oznak dostojęństwa, poznałby już w nim każdy pana i władzę, nawykłego do rozkazywania i wymagania posłuszeństwa.

W pięknej jego twarzy znać jednak było, że gdy go oblał płomień gniewu, strasznym mógł być i groźnym. To też ludzie kochali go, ale drżeli przed nim. W ten dzień biesiady jak dziś, gdy Mieszko jechał zabawić się u ziemianina, wyglądał raczej na sąsiada dobrego, niż na pana,

ale gdy na wojnę konia dosiadł i miecz wziął do ręki, drżało przed nim co żyło. A przytem umiał być przebiegłym i chytrym. Co w myśli miał, tego nikt nigdy odgadnąć nie mógł. Starszyna, co często z nim obcowała i mówiącego słuchała, nie wiedziała nigdy, kiedy na koni zawoła i na granicę walczyć podaży... Więc, choć na pozór wesoly i dobroduszny, miał u wszystkich wielkie poważanie, bo nad nimi rozumem górował.

Za kniazem jechało dwóch jego powinowatych, przybocznych, i Stojgniew, co był nad dworem jego przełożonym, jako i dwóch starych wojewodów i garstka różnej młodzieży. Wszyscy pięknie przyodziani i zbrojni.

Na widok Lubonia i jego orszaku, który stał z odkrytymi głowami, Mieszko konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się sklonił, po ramieniu go uderzył, pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci do ziemi zgięci, pokłon mu oddawali. Pacholek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

— Ojczy Luboniu — rzekł — nie prosiliście mnie na wasz obchód, a ja sam się zaprosiłem... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń Własta przyprowadziwszy, upaść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie przypatrywał młodzieńcowi, rzekł gospodarz stary:

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiadł i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, niżbym

z nim przyszedł z powinną czolobitnością do stóp pańskich.

Mieszko, poklepuwszy po ramieniu Własta, poszedł za gospodarzem ku stolom w cieniu ustawionym, gdzie dla niego miejsce na wywyższeniu przysposobione już było.

Gdy szli, książę rozglądał się oczyma, jakby kogoś szukał. i gdy pod drzewami z daleka ukazywały się stojące w bieli niewiasty, które posługiwać miały, najprzód w tamtą stronę rzucił okiem, i jakby zawiedziony, zmarszczył czoło.

Potem siadł na wywyższonem miejscu i ochotczy zabrał się do jada i picia, przyczem służyli gospodarz z synem. W czasie jedzenia zwrócił się nagle do Lubonia i zapytał:

— A krasnej córki waszój nam to nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczoraj — rzekł Luboń — na głowę leży... Upał znać jój zaszkodził.

Na to nic książę nie odpowiedział, lecz zaczął się wypytywać Własta, gdzie przez ten długi czas bywał i co robił. Włast zaczął mu dość obszernie opowiadać, że rycerz, który go wziął w niewolę, pojechał z nim na dwór cesarski, i potem z nim do dalekich krajów na południe jeździł, a Mieszko słuchał ciekawie, wpatrując się uważnie w błade oblicze młodzieńca.

Stojgniew, który się także ciekawie przysłuchiwał, szepnął Lubonowi, iż książę ciekawy niemieckich obrotów, pewnie syna na swój dwór zawezwie, aby mu o nich opowiadał.

Ojciec nie odrzekł na to, bo mu się serce ścisnęło.

Tymczasem przy stołach ochota, choć obecnością kniazia nieco hamowana, powoli coraz stała się żwawszą. Mieszko przypatrywał się z upodobaniem wesołej drużynie, gdy w tem spostrzegł mężczyznę średniego wieku, który wstawszy już od stołu, stał nieco na uboczu pod drzewem. Zrazu, jakby go nie poznał, wlepił weń oczy i dumal, chcąc go sobie przypomnieć. Potem zwrócił się do Stojgniewa i palcem na mężczyznę wskazując, rzekł:

— Dobrosław Wiotki, albo się mylę?

— Tak, to on, Miłościwy panie — odparł Stojgniew.

— Czemu tak długo nie ukazywał się na naszym dworze, chory był, albo zdziczał w lesie?

Stojgniew schylił się i szepnął na ucho kniaziowi:

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drakomiry pokrewną jej pannę ze-swatał... Ano, ludzie prawią, jakoby i ona inną była wiary, i on może dla niej na taką przystał.

Kniaź nie odpowiedział Stojgniewowi, skinął na Dobrosława.

Był to mężczyzna w tym co Mieszko wieku, wyrosły jak dąb, śmiałego, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka dzielnego i człowieka zawsze mówiącego prawdę. Dobrosław na skinienie kniazia szedł śmiało, skłonił się do nóg jak należało, lecz prędko głowę podniósł i spojrzał w oczy kniaziowi.

— Gdzieżeście to samopas tak długo gościli, Dobrosławie? — zapytał Mieszko — wzywałem was na wyprawę nad Łabą i nie stawiliście się.

— Darujcie, Miłościwy panie, w domu nie byłem... żony sobie szukałem... począł otwarcie Dobrosław.

— Alboż to w domu znaleźć jój było trudno? — zapytał Mieszko.

— Miałem dwie żony od sąsiadów, obie mi pomarły, chciałem gdzieindziej szukać szczęścia...

— I kędyżeście bywali? — zapytał książę spokojnie.

— Zawlokłem się aż na Czechy, na dwór króla Bolesława, tam żonę znalazłem.

— Cóż tam widział na tym dworze, pewnie co lepszego niż u nas? — zapytał książę, potrząsając głową.

Dobrosław potarł brodę z namysłem i rzekł:

— Choć Niemców tam nie widziałem żadnych, ani też niemieckiego obyczaju, a przecież wielem się od nich nauczył, Miłościwy panie, bo oni na to się do nich zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak się bronić przed nimi.

— A króla widzieliście? — zapytał Mieszek chmurno.

— O tak, na łowy z nim jeździłem i u dworu bywałem nieraz.

— I co o nim myślicie — spytał książę, mierząc oczyma Dobrosława.

Dobrosław zamyślił się na chwilę, a potem odparł, spuszcżając oczy:



— Miłościwy panie, jest to mąż silny, przebiegły i władzy chciwy... lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem o nim.

Teraz Mieszko nie odpowiedział nic, z kubka tylko popił patrząc na mówiącego.

— Jutro na łowy pojedę — ozwał się po namyśle — pojedziecie i wy ze mną, Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił, a kniaź skinał na Lubonia.

— Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania. Przy dworze chcę go mieć.

Usłyszawszy to stary pobladł, zawahał się i mimowolnie załamał ręce.

— Ah Miłościwy panie! jedynak on u mnie i tyle go lat nie było.

Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko ręką go za ramię powstrzymałszy, rzekł śmiejąc się:

— Odbierać go wam nie myślę, ale opowiedzieć mi winien, co widział u Niemców. Na to mi jest potrzebny. Oddam go wam, nie bójcie się... Bo nacoby mi się zdał zresztą. blady i słaby... nie do miecza znać urósł, albo go tam tak wycieńczyli niewolą.

Luboń westchnął.

— To też chciałem go w domu wykarmić, aby mu sił przybyło.

Mieszko nic już na to nie odpowiedział. Skinał na Stojgniewa, aby kazał osiodłać konie i z powrotem wybierać się do domu.

A jak tu przybył wesółym i dobrej myśli,

dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem czoło mu się zachmurzyło i usta krzywić poczęły. Może też gniewno mu było, że pięknej Różany zobaczyć nie mógł.

Gdy Mieszko powstał z siedzenia, wszyscy biesiadnicy ruszyli od stolów i z okrzykami na cześć kniazia odprowadzili go do wrót, gdzie już osiodłane konie czekały na cały orszak kniaziowski. Mieszko dosiadłszy rączego siwka, skinieniem głowy pozdrowił otaczających, a do Lubonia przemówił jeszcze:

— Nie skąpcie mi syna, przyslijcie go jutro, lub pojutrze. Nie obawiajcie się o niego, na moim dworze nic mu się złego nie stanie.

Gdy cały świetny orszak znikł w tumanach kurzu, stary Luboń odetchnął swobodnie. Teraz dopiero mógł z przyjaciółmi porozmawiać śmiało.

— Dobry pan — odezwał się Dobrosław — a no, patrząc nań czujesz, że to pan, choć to kmieca krew w jego żyłach płynie...

— Nie powinno też być inaczej — rzekł Luboń — bo pocóż byśmy go nad siebie wynosili, gdyby panem i wodzem być nie umiał... Niech się go ludzie boją, byle go się też lękali sąsiedzi.

— Daleko nam do tego — rzekł Dobrosław z uśmiechem — by się oni nas obawiać mieli, dość byłoby, abyśmy się mogli przestać ich lękać... patrzałem na nich z bliska.

Gdy przed Mieszkiem powiadał po cichu Stojgniew, że Dobrosława za wyznawcę nowej wiary miano, Włast dosłyszał słów tych, i teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swoich zapraszał,

a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu Włast i rzekł nieśmiało i cicho:

— Chciałbym pomówić z wami... chodźmy sami.

## II.

Nie bardzo zważano już na to, co się działo z pozostałymi gośćmi, więc Włast mógł niepostrzeżenie wyprowadzić Dobrosława w gęstwinę lasu, gdzie byli sami, bez świadków.

Dobrosław dał się prowadzić i pierwszy pytań nie rozpoczął — czekał, wpatrując się w młodzieńca idącego niespokojnie i widocznie niepewnego, jak ma rozpocząć rozmowę. Wreszcie, gdy odeszli w las tak daleko, że już ani głosy biesiadników ich nie dochodziły, Włast, wzruszony, ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął suknię na piersiach szczelnie zapiętą i ręką dobywszy z pod niej zawieszony na sznurku mały krzyżyk złoty, ukazał go Dobrosławowi. Na widok tego znaku dzielny wojak obejrzał się niespokojnie, widocznie zdziwiony, schwycił to znamię, przyłożył do ust i pocałował.

Tak się dwaj bracia w Chrystusie poznali pośród pogan. Włast schował natychmiast godło, uścisnął Dobrosława, lecz ze wzruszenia wymówić nie mógł słowa.

Stali obaj długą chwilę, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi, że się spotkali i poznali.

— Zkąd wiedziałeś, żeś ochrzcony? — zapytał wreszcie Dobrosław.

— Snać wiadomem to powszechnie, bo Stojgniew powiadał o tem półgłosem kniaziowi — odparł Włast.

Wiotki zamyślił się smutnie.

— Nie darmo mnie też jutro wezwał na łowy — westchnął. — Co tam mnie czeka, Bóg wie! Włast uściskał go drżący.

— Książ by was miał prześladować? — zapytał.

— On? nie! — odparł Dobrosław — ale on sam boi się narodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich obstaje. Ciekawym jest pewno nową wiary; wie, że ją przyjęli czescy panowie, że ona u nas i wszędzie z czasem zawładnie, ale nim to się stanie, wiele krwi się wyleje!... wiele! Powiedz mi o sobie — dodał potem idąc w las dalej — gdzie ciebie ochrzcono?

— Na dworze cesarskim chrzcil mnie pan i biskup Rawenny. Po chrzcie przygotowali mnie na kapłana — i kapłanem jestem...

Gdy tych słów młodzieniec domawiał, z pokorą spuszczać oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice, podniósł ręce do góry i o mało wielkim głosem nie krzyknął. Potem pochylił się po rękę Własta i pocałował ją z pokorą, a ten zakreślił krzyż nad schyloną głową.

— Tak, kapłanem jestem — mówił po cichu — wróciłem, żeby wiarę w Chrystusa szczepić pomiędzy swymi... a trwoga mnie ogarnia jak tego, co pada a nie ma gałęzi, za którąby się uchwycił... Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystusie... Radźcie mi! Dni już wiele świętej

nie mógłem odprawić ofiary. Wszystko co mnie otacza, odgaduje mnie i grozić mi się zdaje. Ojciec groźny, babka gniewna, zmuszają mnie do życia, którego wieść nie mogę. Co począć?

Dobrosław zamyślił się.

— Ojciec mój — rzekł — bo cię Ojcem chociaż młodszego nazywać winienem, jedno tylko wiem, iż ci, co ciemny nasz naród nawracać przychodzą, wielką mają u Boga zasługę. Nas chrześcian tu utajonych jest wielu, ale dla ochrony życia milczeć nam trzeba i cierpieć.

— Jest wielu? — pochwycił składając ręce jak do modlitwy Włast. — Jest wielu, mówicie?

— Tak, ale więcej jeszcze tych, co na nasze czyhają życie — odparł Dobrosław. — Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... Tak mnie w Pradze na Hradczynie uczono...

Mówili jeszcze długo, gdy nadbiegł Jarmirz, ulubiony wychowaniec starego Lubonia, który go kochał jak syna i wyręczał się nim w gospodarstwie, i rzekł, że ojciec niepokoi się o Włastą i zapytuje się o niego. Rozstali się więc, by nie zbudzić podejrzeń. Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmirz popatrzał jakoś dziwnie za odchodzącym. Między nim a Włastem stosunek był trudny do określenia. Dla ulubionego wychowanka, który się mienił przybranem dzieckiem Lubonia, Włast miłym być nie mógł. Jarmirz nie mu złego nie życzył, lecz nie mógł się wstrzymać i po-

hamować zazdrości... Włast był mu przyjaznym, serdecznym, jednak czuł Jarmirz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś dzieląca zaporą. Obawiali się jeden drugiego...

Teraz wrócili w milczeniu do ojca. Goście już się rozjeżdżać poczynali; najprzód sąsiedzi dalej mieszkający, potem bliżsi, a ostatni już o księżycu późnym wieczorem ruszyli.

Różana wyszła teraz z ukrycia odetchnąć świeżem powietrzem. Włast zużony siadł na uboczu by odpocząć, służba zabierała stoły, kupki po ziemi leżące i kubły wypróżnione odnosiła do dworku. W dali słychać było śpiew odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny, nastąpił po dniu pełnym wrzawy.

Luboń ze starą matką szeptali coś po cichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą wysunął się do swojej szopki na modlitwę.

Ale tu na niego czekał Jarmirz.

Ciężyło mu na sercu, że z Własten jeszcze się nigdy szczerze rozmówić nie mógł; zwyciężwszy więc zazdrość, jaką czuł do dawnego towarzysza młodości, ujął go przyjaźnie za rękę.

— Właście — rzekł cicho — siadźmy tu trochę. Chcę z wami jak z bratem pomówić otwarcie.

— Owszem, bracie, mów... mów — ja ci żyćczę dobrze.

— I ja wam — piorun niech we mnie trzaśnie, jeśli mówię nieprawdę — zawołał Jarmirz z zapalem... będę szczerym... Dwanaście lat was nie było... Stary tęsknił ciągle za wami... Nie było

kogo kochać, polubił mnie, a jam Różanę pokochał... Synem mu być miałem — powiedzcie co teraz będzie?...

Włast go uściśnął.

— Jarmirzu mój — rzekł — jeśli Różana cię kocha, a ojciec pragnie, czyż jabym ci stawał na przeszkodzie? Ja, wierz mi bracie, nic i nikomu nie odbiorę. Widzisz słaby jestem i nie wojak...

— Dopomóżcie mi więc do pozyskania Różany i bądźcie moim bratem — rzekł Jarmirz wzruszony — a dam wam pierwszy dowód, że dobrze wam życzę. Was stara babka i ojciec posądzają. Żeście wy nową przyjęli wiarę.

— A gdyby tak było? — zapytał Włast, cicho westchnąwszy.

— Niech to złe odejdzie od was! — zawołał Jarmirz z przerażeniem — a nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego. Nie znacie stariej Dobrogniewy, strułaby was, choć wnuka! Nie znacie ojca, wyrzekłby się was, jak wroga! A gdyby was tam i zepsuli — mówił dalej Jarmirz — trzeba, wróciwszy do domu, do swoich powrócić bogów. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś, jak Luboń umawiał się z sąsiadem i powinowatym Słomką, aby wam dał za żonę swą córkę Młodę.

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmirz — Młodę widziałem nieraz, jest piękna jak bogini Dziewanna... Ona was, wy ją pokochacie...

— Bracie mój — odezwał się po chwili mil-

czenia Włast posepnie — coście wy mi mówili, poszło z pocziwego serca. Więc wam wyznam wszystko. Tak, jestem chrześcianinem i być nim nie przestanę, choćbym za to miał umierać.

Nastąpiło długie milczenie. Jarmirz patrzył na Własta, potrząsając głową, wreszcie rzekł:

— Ojcu winniście posłuszeństwo.

— Tak, lecz mam Ojca w niebiesiech, Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo.

Mowa ta była dla Jarmirza całkiem niezrozumiałą, a pytać się nie śmiał... Uścisnął Własta, a ten rzekł wolno:

— Spokojnym bądź. Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale mu wiernym pozostać trzeba... Jeśli ojciec mój ziemski Ojca mego w niebie zdradzić mi każe, pójdę ztąd... Zostaniesz tu sam i będziesz staremu synem i pociechą...

— Jakto? porzuciłbyś wszystko? ojca, siostrę, dom, bogactwa wasze dla....

— Tak — odparł Włast — nie pytaj mnie dla kogo i czego, dziś więcej powiedzieć ci nie mogę — ale ci przysięgam, porzucę wszystko, abym ocalił to, co mam najdroższego.

Zadumany, przeleklej prawie Jarmirz patrzył na Własta z podziwieniem, bo twarz jego, zamiast być smutną i ostrożną, promieniała weselem i jakby dumą jakąś zwycięską.

Dokończywszy tych słów, Włast uściskał Jarmirza i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł na modlitwę...



Ta była także dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szal, obłąkanie prawie, ale nie widział nigdy człowieka tak spokojnie rozmawiającego z duchem niewidzialnym.

Czuł on, że w ciemnościach téj nocy, niedostrzeżona dla oka jakaś potęga dźwigała tego na pozór słabego człowieka, dając mu siłę i męstwo zadziwiające.

Wszystko co mu Włast powiedział, nappełniało go trwogą, jak objaw jakiegoś świata nieznanego... Modłącemu się Włastowi mienila się twarz blada, oczy jakimś dziwnym blaskiem jaśniały, stawał się innym, piękniejszym...

Jarmirz patrzył długo na modlącego się młodzieńca, potem wyszedł na palcach z szopki i stanął u słupa, dopóki Włast nie powstał z kolan i nie zabierał się do spoczynku. Natenczas i on powlókł się na swe posłanie, lecz nie mógł zmrużyć oka do rana.

Nazajutrz Luboń, chcąc syna zwolna przyzwyczajać do zajęć męskich, kazał mu z Jarmirzem jechać na łowy, sam czując się po dniu wczorajszym zbyt znużonym. Rano zbudzono Włastą, więc posłuszny pojechał na łowy, z kilku ludźmi i znaczną psów sforą.

Granice puszczy nie były wówczas tak ściśle oznaczone jak później, a ziemianom służyło prawo polować wszędzie, gdzie chcieli. Byli właśnie w ostępie wskazanym im przez ludzi, w którym stado jeleni znaleźć mieli, gdy Jarmirz przodem

ciągle jadący, zawrócił się nagle ku Włastowi i dał mu znak, aby się zatrzymał i zbliżywszy się powiedział mu, że Mieszko właśnie poluje w tej puszczy. Trzeba im więc było w inną zwrócić się stronę.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeni wychodzącego kniazia, za którym postępował Dobrosław. Obaj zdawali się więcej zajęci rozmową niż myślistwem. Orszak kniaziowski pozostał był z tyłu, a Mieszko uważnie przysłuchiwał się temu, co mu opowiadał towarzysz. Mielili już w inną iść stronę, gdy kniaz, podniósłszy głowę, spostrzegł Włastę i skinął na niego. Młodzieniec zsiadłszy z konia i zdjawszy kapelusz zbliżył się do kniazia, który stał, lekki oszczep trzymając w ręku.

Na zapytanie, coby w tym lesie czynił Włast, rzekł, iż z ojcowskiego rozkazu wyjechał na łowy.

— Wyślijcie łowców — rzekł Mieszko — a wy, gdy tu już jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć nie bardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmirzowi, który natychmiast ustąpił ze swymi.

Mieszko zaś uchwycił mały róg myśliwski, wiśszący mu na ramieniu, do ust go wziął i kilka razy zatrąbił.

Zaszumiały wnet z obu stron gąszczę i nadbiegła liczna gromada łowców kniaziowskich. Kniaż zawołał do siebie Stojgniewa, kazał z koni zdjąć sukno, rozpostrzeć je w cieniu drzew na trawie i położył się na niem. Przyniesiono kobiałkę z

pieczonem mięsiwem i barylkę miodu, które postawiono przed knaziem. Dobrosław i Włast stanęli nieco opodal.

— Stojgniewie — rzekł Mieszko — poprowadzicie łowy, a ja spocznę. Dobrosław i Włast Luboń zostaną przy mnie.

Stojgniew zrozumiałwszy wolę kniazia, pospieszył do zgromadzonych łowców, i nim krótka upłynęła chwila, Mieszko pozostał sam z dwoma towarzyszami.

Zmierzywszy bystrem okiem Własta, jakby chciał zbadać go do gruntu duszy, zapytał:

— Byleś między chrześcianami? jak długo?

— Dwanaście lat Miłościwy panie.

Znasz ich więc dobrze?

— Lepiej niż teraz własny kraj — odparł Włast.

Po téj odpowiedzi Mieszko zamilknął chwilę, a potem zwrócił się do Dobrosława i rzekł:

— Mów, jak ci się zdało? Są oni więksi i silniejsi od nas, na Hradczynie Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? są oni nam straszni?

Agdy Dobrosław ociągał się z odpowiedzią, dodał:

— Tak jak Niemcy mają jedną głowę cesarza i jedną stolicę tak i nam trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas oni zjedzą... Maż Bolesław tę siłę, aby nas wszystkich zagarnąć... i mnie... — mruknął Mieszko ostatni wyraz prawie niedosłyszczanym głosem. — Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych, co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław miał oczy w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się wreszcie zwolna cedząc słowa — jeżeli siłę na setki i tysiące wojowników liczyć mam, to nie wiem, bom ich nie liczył: jeśli na rozum, to Bolesław nie zdaje się mędrszym od innych; przecież on wie to jedno, iż chcąc cesarza pobić, trzeba się u niego uczyć samego. Dla tego od niego nie stroni, kłania się mu, ale tylko dla tego, aby go zwyciężyć łatwiej.

— I przez to przyjął nową wiarę? — spytał Mieszko, patrząc w oczy Dobrosławowi.

— Nie wiem — odparł po krótkim milczeniu zapytany.

Mieszko zamilkł na chwilę. Jadł i pił, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— A co tam o nas mówią? — zapytał nagle.

Dobrosław zawsze zwolna zbierał się na odpowiedź.

— Wiedzą, że Miłościwy pan silnym jesteś, lecz oni nie sądzą groźnym tego, kto się do chrześcian nie liczy.

— A dawnoż oni do nich przystali? zawołał Mieszko szydersko. — Drakomira, matka Bolka i on, jeszcze się bogom swoim kłaniali. Alboż Bolko jest chrześcianinem? Alboż brata, co nim był, nie zabił za to?

— O tem na dworze Bolka mówić nie wolno, a szeptają różnie — rzekł Dobrosław. — Wacława zamordowali dworzanie Bolka, sądząc, że na życie ich pana nastawał.

Mieszko nie już na to nie odpowiedział, podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał — powiedź mi, co chrześcian znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

Niespodziewanie zaskoczony pytaniem Włast, nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć. Modlił się w duchu o natchnienie i mimowolnie prawie odezwał się z zapalem:

— Miłościwy panie, wiara to jest, co zaprawdę człowieka czyni szczęśliwym, jest mu zbroją, pokarmem, i światłem i siłą!

Słyszac te słowa Dobrosław pobladł, ale z poszanowaniem spojrział na natchnionego młodzieńca.

Kniaź też nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przeleklemi zmierzył mówiącego i mruczał coś sam do siebie. Włast stał gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią, że człowieka ta wiara dręczy, morzy i wzbrania mu wszystkiego — odezwał się kniaź po chwili milczenia — jestże to prawdą?

— Miłościwy panie — począł Włast z wzrastającym natchnieniem — gdy dzikiego konia człowiek bierze z pola, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył rozumu i dał mu siłę, morzy go głodem, bezsennością, znużeniem — tak wiara ta czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobić istotę nową, na obraz Boży podobną!

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem:

— Na obraz Boży — na obraz Boży — coś ty rzekł?

— Tak uczy ta wiara — powtórzył Włast. Książ spuścił oczy i zadumał się.

— Na obraz Boży! powtórzył raz jeszcze, więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką!

— Tak jest — Miłościwy panie — rzekł Włast.

— I zwycięstwo i potęgę i panowanie — mówił Włast — daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czemuż je kupić może? — zapytał Mieszko.

— Miłościwy panie — rzekł po niejakiem milczeniu — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara, pełna tajemnic, cudów, ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda sprawa, lecz na nie ciężko pracować trzeba.

— Ale cuda za skarby też i bez pracy kupić można — rzekł książ.

— Nie — odparł Włast — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną, marną.

Mieszko przestał pytać i zwrócił się znowu do Dobrosława, i rzekł z tajemniczym wyrazem twarzy.

— Czy chcielibyście pojechać raz jeszcze do Pragi na Hradczyn? Chciałbym was mieć posłem, ale nikt o tem wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, aby i on milczał.

— Ani mówcie, żem was słał na zwiady — kończył książ — ale od siebie na dworze pytajcie, ażali nie radziby mi tam byli? Ażali Bolko z Mieszkiem nie podaliby sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Wyrozu-

miejcie ich. Gdybym przybył do nich, jakżeby mnie przyjęli?

— Uczynię według rozkazu — z radością prawie odpowiedział Dobrosław.

— I nikt o tem wiedzieć nie ma — powtórzył Mieszko.

Tych słów dokończywszy, podniósł się kniaź rzeżko z ziemi, stanął, schwycił oszczep i nadstawił uszu.

Wtem w krzakach coś chrapnie i łomot dał się słyszeć, stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc z gęstwiny, wprost na kniazia, lecz w téjże chwili oszczep utkwiał już głęboko w boku zakrwawionego zwierza, który rzuciwszy się wściekle biegł na Dobrosława. Równocześnie nadbiegli lowcy kniaziowscy, którzy schwycili i dobili rozjuszzone zwierzę. Kniaź kazał teraz Stojgniewowi konie podawać i łowy na ten dzień były skończone.

Już na konia siadłszy, rzekł kniaź Dobrosławowi, aby do domu wracał; Włastowi za sobą jechać polecił, i cały orszak posuwał się zwolna ku grodowi do Poznania.

### III.

Gród wznoszący się na prawym brzegu Warty, nad małą rzeczką Cybiną, nie odznaczał się na pozór wielką wspaniałością, ale rozległy był dosyć i warowny. Wysoki wał opasywał go z dala, ostrokoły i tyny (mury) obejmowały drugim kołem.

Nieopodal od kniaziowskiego dworu i od rzeki stała odosobiona nieco świątynia bożka Jessego, którą niewielki otaczał gaj z drzew prastarych. Zbudowana kontyna (świątynia) na wzór innych opierała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między którymi sukienne opony zastępowały ściany. Za niemi dopiero był przybytek osobny, kapłanom tylko dostępny, zamknięty drewnianymi ścianami. W pośrodku chowano posągi bożków i różne przybory wojenne. Tu wróżbici i gęślarze, będący na straży, przepowiadali przyszłość za pomocą ognia, wody i ziemi.

Nikt tu nie rozkazywał oprócz samego kniazia, który zarazem był władcą zamku i świątyni. Pod jego rozkazami stali wróżbici, gęślarze czyli śpiewacy i wszelka posługa przy świątyni. Gaj święty, który ją otaczał stanowił granicę, której przekroczyć nikomu nie było wolno. Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Przy niej stała straż dzień i noc, zmieniając się nieustannie.

Po za wałami grodu na prawym brzegu Warty w szeroko rozłożonych chatach i dworach mieszkało żołnierstwo kniaziowe, sotnicy i tysiącznicy. Obok niego ci, co rzemiosło na zamku potrzebne sprawiali i lud, od straży, od posyłek i od łowów. A choć miasto było niepozorne i szare od ścian drewnianych, postarzałych, znaczną już zajmowało przestrzeń. Na targi też tu przybywali kupcy z towarem różnym z daleka, ze wschodu i zachodu. Ludność się na tysiące liczyła, cała grodowi pańskiemu służąc i podlegając. Starszyzna wojskowa



dalej też siedziała w lasach po dworach i gródkach nad brzegami rzek i jezior położonych.

Przyboczny dwór pański równie był mnogi dla okazałości i wygody. Najdoborowsza młodzież stała u boku kniazia i mieszkała w podwórzach grodu. W głębi oddzielone od téj części pod pilną strażą i zawarciem siedziały żony kniazia i ich służba niewieścia.

Życie tu wiodło się więcej obozowe niż dworskie, bo każdej godziny wszystko w pogotowiu było siadać na koń i lecieć, gdy znać dano o najeździe nieprzyjaciela.

Tego wieczora, gdy powrócono z łowów nad Cybiną, i gdy z pańskim orszakiem blady i niepozorny nadciągnął Włast, zebrała się w podwórzu niemała koło niego gromada, bo wszyscy ciekawi byli, po co tu sprowadzono nieznanomego bladego młodzieńca.

Mieszko zdał Włastu pod opiekę Stojgniewowi, a sam odszedł do niewiast zabawiać się niemi. Gdy jednak Stojgniew odszedł, aby wydać różne rozporządzenia służbie, Włast został sam pod słupami na przedsieniu, siadł na ławie i rozglądał się, nie wiedząc co miał czynić. Ciekawa gawiedź już się też zaczynała rozchodzić, gdy wtem od wałów wolnym krokiem przywłókł się człeczyna, który nieznanomego spostrzegłszy na ławie, przybliżył się do słupów, by mu się przypatrzeć.

Własta zdziwiła także postać dziwaczna. Był to człek krępy i barczysty, głowę miał ogromną, czarnym kędzierzawym włosem pokrytą. Z ust wydobywały mu się dwa kły dziwnie wyrosłe, nadające twarzy jego wyraz podobny do zwierza dzi-

kiego. Czoło miał bardzo niskie a ślepie świecące jak u kota.

Proste ubranie okrywało ciało, na nogach miał nędzne wykoszlawione chodaki. Takie potworne stworzenia chowali wówczas panowie do posług, tak samo, jak oswojone niedźwiedzie i obłaskawione wilki.

Potworny ten człek zbliżył się do Własta i zapytał zuchwale:

— Cóż ty za jeden? he ty jakiś?

— A wy kto? — zapytał łagodnie młodzieniec.

— Jestem od pudła i od stryczka, od gnoju i od śmiecia. Nazywają mnie Psiajucha. A ciebie?

— Cóż ci przyjdzie z nieznajomego nazwiska. Daj mi pokój — odparł Włast — nie masz do mnie. Syn jestem Lubonia z Krasnej Góry.

— Oho! oho! — rzekł pacholek szydersko. Tylko bieda, że Luboń syna nie ma.

— Nie miał go — rzekł cierpliwie Włast — ale mu powrócił.

— Héj! héj! miłościwy synu Luboniów — rzekł Psiajucha, patrząc na niego przenikliwie i oczyma — powiedzcie, pocóżście tu przybyli?

— Z panem miłościwym przybyłem — rzekł Włast krótko.

Psiajucha umilkł na chwilę, a potem zapytał nagle:

— Toś ty, coś u Niemców dwanaście lat w niewoli bywał, he?

— Tak, byłem — odparł Włast sucho.

— Oj pewnie nową wiarę od nich przyjąłeś,

zawołał pacholek, a z nią pójdiesz tutaj na gałęź! na gałęź! na gałęź!

Włast nic mu nie odpowiedział. Wtem pacholek ujrzał zdala nadchodzącego Stojgniewa, zgrzytnął zębami, zaklął po cichu i uciekł.

Takie było pierwsze przyjęcie Własta na dworze kniazia.

Stojgniew zabrał go teraz z sobą do izby, gdzie wieczorny zastawiono posiłek. Tu zastał kilku dworzan, którzy rubasznemi żartami obrażali nieznosnie uszy blade go, słabowitego młodzieńca.

Po skończonej wieczerzy wszedł komornik, sługa izdebnego kniazia, wzywając Własta do pana. Młodzieniec żywo, z wielką ochotą, pospieszył za izdebnym, pokłoniwszy się dworzanom.

Mieszko był jeszcze w drugim podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały. Izdebny przeprowadził Własta przez rozległe podwórze, którego ogródek był ocieniony drzewami. Potem weszli do obszernego podsienia, pod słupami, a ztąd do wielkiej izby, w której na ławach leżało i siedziało kilkunastu takich jak on komorników. Uchylił drzwi do komnaty Mieszkowej...

Kniaz leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedziej, na wpół uśpiony, z rękoma pod głowę założonemi. Zwrócił oczy ku wchodzącemu i dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik drzwi zamknawszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko podniósł się, siadł na łożu i rzekł przypatrując się Włastowi:

— Tęj nowęj wiary jestem ciekawy... ty ją znasz zapewne... Mów mi o nięj... Wszak Bóg ten Chrystus się nazywa?

— Tak Miłościwy panie — odparł Włast pytaniem tem uradowany.

— Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi i powrócił do niebios, z kąd zstąpił na nię. Przyniósł on nowe prawo z sobą i zaszczeplił je krwią swoją pomiędzy ludźmi...

— Tak... wiem... był zabity, umęczony — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał — dodał Włast.

Kniaź usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem przestachu i niedowierzania.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał po cichu.

— I czyni je ciągle — dokończył Włast.

Mieszko zwrócił przenikliwie oczy na młodzieńca i spytał.

— Tyś chrześcianin?

Włastowi serce uderzyło silnie. Pomimo, że głos kniazia nie był groźnym, nie był jednak pewien, czy przez przyznanie się nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tęj chwili przyszło mu na myśl trzykrotne zaparcie się Piotra św... więc zwyciężając niemoc i pokusę, rzekł śmiało:

— Jestem nim Miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to życie miał stracić, zaprzec się Boga mego nie mogę.

Zdumiony Mieszko milczał długo, wpatrując się w natchnionego młodzieńca.

— I nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie panie, bo mnie po śmierci czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny, mruknął książę wstając, jesteś tego pewnym?

— Miłościwy panie! — zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy, na wpół szyderskim, na pół trwożnym, książę rzucił się na łożo i zadumał głęboko.

Znów długie zapanowało milczenie. Nagle Mieszko od chrześcian przeszedł do cesarza:

— A cesarz niemiecki silny on jest? -- zapytał.

— Nie wiem, czy kto nad niego silniejszym jest w świecie -- odparł Włast. Ma pod sobą królów, książąt i panów moc niesłychaną... wojsko niezliczone... skarby ogromne... Ach panie, potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się niedowierzająco.

— A przecież — rzekł — dotąd jego margrafowie i książęta nas Polan, Serbów i Wendów zmódrz i pobić nie zdołali... Nas, cośmy rozbici, podzieleni — dodał ciszej... Czechy mają, ale ich zdradzą Czesi, gdy stosowną upatrzą chwilę. Poszli z nimi, bo Ugrów złamać trzeba było, co im tak groźnymi byli...

Zaczął potem pytać o zamki, zbroje, oręż, szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemiach było innem. Włast opowiadał mu długo i obszernie o wielkich zamkach, jakie widział na szczytach gór zbudowanych, o żelaznych zbrojach ryce-

rzy i ogromnych bogactwach cesarskiego skarbu. Mieszko słuchał go z wielką uwagą, a gdy wreszcie zamilkł, znudzony długiem opowiadaniem, Mieszko rzekł głosem zniżonym:

— Pamiętaj, abyś się ze swym nowym Bogiem przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę Niemców przyjął, ukaraćbym cię musiał... My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie znać nie chcą — nie wspólnego z obcymi mieć nie będziemy... nie!

Włast chciał go pożegnać, gdy książę rzekł:

— Od dworu cię nie puszczam. Stojgniew ci da pomieszczenie. Gdy cię puścić zechcę, powiem. Na zawołanie mi będziesz i milczeć.

Z tem puścił Włast, nie okazując mu większego gniewu.

Gdy Włast odszedł, Mieszko położył się na łożu i zadumał, jak wprzód.

Przez okno od podwórza dochodziły śpiewy niewieście, krzyki zjadliwe i śmiechy. Wtem drzwi osłonięte oponą otworzyły się i w progu stanęła nie młoda już niewiasta, wysokiego wzrostu i bogato ubrana.

— Cóż mi to powiesz Dagmaro? — zapytał książę, spoglądając na nią roztargnionemi oczyma.

— A! co zawsze, co zawsze Miłościwy panie. Ze zgryzoty z temi twojemi niewiastami życie stracę! Te złe, zazdrosne jędze, struć mnie gotowe!

— Cóż się znów stało? — Zapytał z uśmiechem Mieszko.

To co zawsze. Jak się tylko pobudzą te

wasze boginki, czyby sobie powydzierać chciały. Gdy się która weseli, zaraz inna się wścieka. Jestem starszą, ale porządku utrzymać nie mogę!

— Czyż to nie macie siły i władzy? — krzyknął Mieszko — żeby sześciu molodycom nie dać rady?

— Prędjéj sobie Stojgniew da radę ze stu pachółkami, niż ja z temi utrapionemi gąsienicami.

— Co więc począć z niemi?

— Co? — mruknęła stara — rozpędzić na cztery wiatry, poodsyłać do domów.

— Zawsze ostatnia, ta, którą najbardziej lubisz Miłościwy panie...

Wtem opona u drzwi się odsunęła i dwie młode i piękne jak jutrzienka w maju niewiasty wbiegły śmiało do komnaty.

Mieszko zmarszczył brwi groźnie. Jedną ręką wsparty na łożu, drugą wyciągnął ku pięknym swawolnicom.

Barwino i Lilio! kto wam tu wchodzić pozwolił — zawołał — precz do waszój izby, w téj chwili!

— Panie — Lilia cię zdradza! — zawołała jasnowłosa Barwina.

— Kłamiesz! ty sama masz kochanka, ty! ty! czerwieniąc się krzyknęła Lilia.

— Dagmaro, zaprowadź je natychmiast precz do ich izby — krzyknął Mieszko.

— Rozeznam sprawy wasze i winną ukarzę.

Stara pochwyciła obydwie młode kobiety za ręce i pomimo ich oporu wyszła z niemi z izby.

Mieszko pozostawszy sam, mruknął rozgniewany:  
 — Na Peruna! Całą tę gromadę rozegnać  
 trzeba, zamiast pociechy i spoczynku, klótnie tylko  
 i męka z niemi.

I ręką machnął groźnie w powietrzu.

#### IV.

Nazajutrz po przybyciu Wlasta na dwór Mieszka, nadciągnął tam Sydbor, przyrodni brat kniazia, któremu tenże dawał dowództwo nad najniesforniejszemi oddziałami i najtrudniejsze do wykonania polecenia. Wszyscy wyszli na jego spotkanie, wyszedł także i Wlast, gdzie zdala od wałów ukazał się orszak Mieszkowego brata. Nie był za prawdę świetny, ale dziwnie wyglądał. Stu ludzi na żwawych rumakach prowadził Sydbor z sobą. Sam jechał na przodzie — istny wódz dzikich, runiany, o czarnych włosach i zaroście, w odzieży jaskrawej, blaszkami naszywaną, w czapce z pióropuszem, z mieczem i kilku młotami za pasem.

Ludzie jego mieli wszyscy grube, kute pancerze, i uzbrojeni byli jednakowo, co naówczas wielki stanowiło przepych. Wszyscy jechali rażno i butnie, niby z tryumfem, bo w pośrodku nich szła gromada ludzi powiązanych sznurami: starców, włodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbor napadł na osadę niemiecką pod Grodkiem nad Odrą, niedawno założonym i wszystko, co tam znalazł, zagarnął, osadę puściwszy z dymem.



Zabrane konie i bydło pędzili osobno ludzie, w niejakiem oddaleniu za orszakiem wojaków.

Wszyscy ci jeńcy, odarci, pobici, poranieni przerażający przedstawiali widok niemój a wścieklój rozpacz. Ale Mieszkowi oczy jakąś dziką zaśniały radością. A była ta radość niejako usprawiedliwioną, bo tak samo i w gorszych jeszcze pętach prowadzono Słowian, zabieranych nad Odrą, a markgraf Geron nie tylko mieczem ale i zdradą tępił plemię, któremu rady dać nie mógł.

Zbiegło się ilu było ludzi w grodzie, przypatrywać się spętanym Niemcom i witać wojowników. Zdala patrzył i Włast... Nagle twarz mu pobladła na widok siwego staruszka, który, silnie skrzepowany, ledwo się utrzymać mógł na nogach. Krótko ostrzyżone włosy, a na wierzchu głowy wygolona korona, dały w tym nieszczęśliwym poznać chrześcijańskiego kapłana. Włast, którego jako chrześcianina i kapłana widok ten przejął serdeczną litością, stał osłupiały, myśląc, coby trzeba począć, aby starca, którego znał, mógł z téj srogiéj wydobyć niewoli. Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś pociągnął za rękaw.

Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę, obwinioną płachtami białemi, która coś po cichu szepnęła mu do ucha. Nie mógł jój zrazu zrozumieć, więc stara odwiodła go na bok i odezwała się głośnieję:

— Wy to jesteście Luboniów syn? coście dwanaście lat w niewoli przebyli?

— Tak — rzekł Włast — ja nim jestem.

— A pamiętacie wy Jarczychę — spytała.

— Tak nazywali u nas na Krasnej Górze kobietę poczeiwą, co mnie po śmierci matki swojemi piersiami karmiła — rzekł Włast po chwili namysłu.

— Gołąbku mój! dziecko moje! toć to ja jestem Jarczychą. Ojciec twój darował mnie do dworu kniaziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie do kniahini Górki, siostry Mieszka, która mieszka w osobnym dworcu nad Cybiną, bo ję niewieście towarzystwo żon kniaziowych nie do smaku. Siedzę więc przy niej i biedną dziewczynę zabawiam jak umiem.

— Gołąbku mój — dodała ciszej Jarczycha — chodź ze mną, ja cię kniahini mojej pokażę, boś ty tak jak dziecko moje.

Ocierала lzy staruszka, pragnąc ale nie śmiejąc uściskać wychowanka, który się do niej smutnie uśmiechał.

— Chodź ze mną; kniahini piękna pani i miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudzi się w świecie, niechajże się zabawi słuchając o twój niewoli... Do niej cię zaprowadzę...

— Nie mogę iść dziś z wami Jarczycho kochana, bo mnie tu ważna wstrzymuje sprawa... Przyjdę do was jutro... albo pojutrze — rzekł Włast poważnie.

Jarczycha nie śmiała nalegać dłużej.

— Więc do zobaczenia! — rzekła i odeszła.

Teraz Włast, zwolna obchodząc jeńców, przybliżył się do staruszka, tak, iż błędzące oczy starca na nim się zatrzymały.

Starzec poznał go. Prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy go wstrzymywały. Wśród gwaru panującego do koła łatwo jednak do siebie przemówić mogli.

— Ojcie Gabryelu! — rzekł Włast — jakście wy się tu dostali?

— Ojcie Mateuszu — odparł słabym głosem starzec — z kąd wy tutaj?

— Jam powrócił... musiałem...

— Jam schwycony... jam w niewoli — mówił starzec. — Wola Boska; gotów jestem na męczeństwo... Patrzałem na kościółek mój splugawiony... na świętokradztwo... O Boże, los własny mnie nie obchodzi.

— Ale mnie on na sercu, Ojcie Gabryelu i jeśli zdołam... uwolnię was...

— Po co? — zapytał starzec. — Kościół mój spłonął... owieczki rozbite... pasterz niepotrzebny!

I głowę na piersi pochylił.

— Ojcie Gabryelu, bądźże dobrej myśli, pójde prosić za wami!

— Proście za sobą Ojca miłosierdzia — odezwał się staruszek — aby wam dal wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi...

I związaną ręką krzyżyk zrobił staruszek.

Włast pospieszył do domu ksiązęcego. Lecz tu docisnąć się nie mógł. Jakiś kniaź Obotrytów z Lutyków gromadą przybył właśnie do Mieszka.

Wrzawliwa narada odbywała się w wielkiej izbie kniaziowej. Mieszko siedząc na wywyższonym miejscu, otoczonym licznym dworem i ludźmi

zbrojnymi, przyjmował ich uroczyście. A że po kilkakroć doświadczał ich niewiary i krzywoprzysięstwa, lajał więc i bezcześcił przybyłych, którzy go na kolanach przeprosić się starali, błagając o posiłki i opiekę.

Przez otwarte okna od podwórza widać było to wszystko.

Nadejście Sydbora nie ułatwiło zgody, bo dzi ki książę nastawać począł na Lutyków i ledwo się dał uspokoić.

Cały ten dzień zszedł na takich sprawach. Wieczorem dopiero wezwał Stojgniew Własta do pana. Składało się nadspodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi razem z Stojgniewem dla przebrania i rozpytania niewolników, bo nikt tak dobrze jak Włast języka ich nie rozumiał.

Mieszko, bacznym na wszystko, kazał badać, czy by między jeńcami rzemieślników nie było, szczególnie kowali i tych coby oręża kuć umieli.

Włast korzystając z tej sposobności, skłonił się do nóg Mieszkowi i opowiedział, że między niewolnikami znajduje się starzec mu znajomy, który niegdyś, w czasie pobytu jego między Niemcami, dobrze się z nim obchodził. Prosił więc, aby go mógł dostać. Książę skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stojgniewowi, by starca do mieszkania Własta zaprowadzono. Podziękowawszy Włast za łaskę, pobiegł wraz ze Stojgniewem spełnić rozkazy księcia. Jeńców znaleźli leżących kupą na ziemi i powiązanych. Włast

sam pobiegł porozrzynać sznury staremu ojcu Gabryelowi i okrył go opończą przywiezioną.

Posadziwszy go pod szopą, począł potem obchodzić wszystkich, pytać i rozdzielać. Wnet część jedną dano do chat na miasteczko do rzemiósł, innych wzięła starszyna; dzieci też rozdzielono na placu.

Wieczór był późny, gdy Wlast, podawszy rękę starcowi osłabionemu, zaprowadził go do swój młóć ciemnej izdebki, a potem pobiegł do Jarczychy, aby od niej dostać posilek jaki dla starca. Jakoż znalazł ją wkrótce w podwórzu, niosącą właśnie garnczek z ciepłym mlekiem i kołaczem dla niego. Wlast odebrał to z wdzięcznością, nakarmił starca, poobwiewywał rany od sznurów i ucalowawszy ręce jego cofnął się, aby na straży pozostać u progu. Ciepła noc letnia dozwalała mu położyć się na twardej ziemi, na spoczynek.

## V.

Upłynęło już dni kilkanaście, które Wlast spędził na dworze kniaziowskim, pośród nieprzyjanych sobie dworzan. Kilka razy prosił, aby mu wolno było powrócić do ojca, do Krasnej Góry, lecz nie otrzymał na to zezwolenia.

Kniaź często wzywał go do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową, to na Niemców, ich cesarza i ich potęgę. Wlast czuł się w obowiązku do oswojenia kniazia z chrześcijaństwem

i jego potęgą. Przy tem pielęgnował z pomocą Jarczychy ojca Gabryela, który leżał chory i ruszyć się nie mógł.

Właśnie w dzień, kiedy Sydbora wyprawiono z ludźmi na Pomorze, dla pomszczenia jakiegoś napadu, przybył niecierpliwie oczekiwany przez Mieszka Dobrosław z swój do Czech podróży. Mieszko natychmiast powołać go kazał do siebie i sam na sam z nim się zamknął.

— Mow! — zawołał — mów mi wszystko coś widział i słyszał.

— Miłościwy panie — rzekł Dobrosław — złego nic nie przynoszę, ani słowa wzgardy i niechęci, owszem pokój, zgodę i przyjaźń od kniazia Bolesława.

Twarz Mieszka się rozpromieniła.

— Czy ten Bołko — zapytał — jest jeszcze tak okrutnym?

— Czasy minęły, gdy Bołko był okrutnym — rzekł Dobrosław. — Bolesław zestarzał, osłabł, pokutnje dobrowolnie za krew przelaną... on i dzieci... Otrakwas, ten syn co się urodził w dzień zabicia Wacława. jest duchownym chrześcijańskim; młoda córka jego zamknięta w klasztorze św. Jerzego.... zabity brat za świętego jest uznany i po śmierci czyni cnda...

— A silny on jest? — zapytał po chwili Mieszko.

— Sily jego nie znam; wiem tylko, że cesarz go szanuje i ma go za sprzymierzeńca... i wrogowie siedzą cicho...

— Rozumny jest, i ja szanuję go — rzekł Mieszko — dla tego chcę jechać do niego, rękę mu podać i powiedzieć: bądźmy jak dwaj bracia. Nie troszczmy się o cesarza. Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... pracujmy we dwoje.. — A co on mówił, co myśli o mnie? — dodał w końcu.

— Miłościwy panie — rzekł Dobrosław — Bolko jest bardzo milczący, raz rzekł mi tylko: Zechce przybyć do mnie Mieszko, rad mu będę i uczczę go jak brata... Jeśli chce, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakoby nie wiedział kto on jest.

Kniaziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił poselstwo — rzekł — a jeśli się powiedzie podróż moja, do której wnet gotować się każę, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się jednak badanie Mieszkowe. Nagle zapytał, czy Bolko nie ma więcej córek oprócz téj, którą Bogu poświęcił.

— Owszem, ma jeszcze jedną, Dąbrówkę — odparł Dobrosław. Dziewica to urodziwa, dorosła, wesoła i śmiała jak na kniahinię przystało. Śpiew i pląsy lubi, odwagę ma męską prawie, rozum też jak nie wiele niewiast posiada.

Mieszko zamilkł i zamyślił się długą chwilę. Potem zaczął naradzać się z Dobrosławem, jaką najbezpieczniej obrać drogę do Pragi.

Nie było we zwyczaju oznajmować we dworze, dokąd się kniaź wybiera, a Mieszko też nie chciał,

aby wiadano o celu jego podróży. Zaraz więc nazajutrz do drogi się sposobić zaczęto. Dobierano do orszaku ludzi zaufanych, najświetniejsze zbroje, najpiękniejsze konie, a dla kniazia Bolka wspa-  
niałe sposobiono dary. Dobrosław i Włast za tłumaczów w téj podróży służyć mieli. Stojgniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, miał także należeć do orszaku. Włast przypomniawszy sobie starego Ojca Gabryela, który zwoła powracał do zdrowia, odważył się prosić, aby i on mógł towarzyszyć kniaziowi. Książ zmarszczył się, ale zezwolił.

Włast, mając kniaziowi towarzyszyć, potrzebował na to pozwolenia i wyprawy od ojca. W przeddzień więc wyjazdu siadł na koń i pojechał do Krasnej Góry, zkąd nocą mu powrócić było trzeba.

W Krasnej Górze znalazł ten sam spokój, jaki tam zostawił. Rożana wybiegła naprzeciwko niemu, serdecznie go witając, ukazała się też we drzwiach stara Dobrogniewa z nieodstępną kądzielą w ręku, na ostatku wyszedł Luboń stary, ucieszony powrotem syna, i Jarmirz, który sądził także, iż książ Własta puścił do domu.

Skłonił się ojcu syn do nóg i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo książ nazajutrz jedzie w drogę; dokąd, nie wolno mu było powiedzieć, i kazał mu być w swym orszaku.

Zasmucił się bardzo Luboń, ale woli kniazia opierać się nie śmiał. Jarmirzowi kazał wydac coby Włast na drogę potrzebował, aby wstydu nie uczynił ojcu.



Luboń nie dziwił się, gdy syn odpowiedzieć mu nie mógł, dokąd jadą i na jak długo, wiedział bowiem, że nie było zwyczajem kniazia naprzód ogłaszać celu podróży. Stary ojciec pocieszał się, że wyprawa ma cel wojenny, i że syn zaprawi się do oręża.

Zciemniało już nieco, gdy się skończyły przygotowania i na koniu objuczonym Włast, pożegnawszy swoich, nazad wyruszył ku Poznaniowi.

Noc nadchodziła szybko; skoro wjechał w las, ciemno tam było i pusto. Jadąc żwawo naprzód zmylił drogę. Las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, tak że trudno było z konienia się przeźierać. Wtem nagle spostrzegł w głębi lasu światło. Kłęby czerwonego dymu wily się pośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie prastarych dębów. Włast zbliżając się dostrzegł gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli około ogniska. Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy. Zsiadł z konia i przywiązawszy go do pnia sosny, poszedł pieszo po cichu, aby się dowiedzieć, co to za ludzie. U pnia rozłożystego dębu rozpalone było ognisko, a przy jego blasku poznał Włast kilku z ludzi, których w świątyni nad Cybiną widywał. Byli to wieszczkowie i geślarze czyli śpiewacy pogańscy, a z nimi i inni jacyś ludzie. Miejsce to było ofiarne, o czem świadczył wielki omszały kamień, leżący pod dębem.

Włast ukrywszy się pomiędzy drzewami, mógł dobrze słyszeć ich rozmowę.

— Z Niemcami — mówił jeden — i z lu-

dźmi, co u nich żyli, obcuje ciągle, a nawi gar-  
dzi! Pieśni słuchać nie chce. Ponawracali na swą  
wiarę Lutyków i Obotrytów i Czechów... przyszła  
kolój na nas! Biada nam!...

Szeptano potem coś niewyraźnie, a potem za-  
wołał jeden z nich głośnieję:

— Cznć u nas to, co było w Czechach... świę-  
tynie obalać... drzewa wytnąć... a sprowadzać...

— Nie doczekanie ich! — odezwał się głos  
silny. — Nie da się lud! Obroni bogów swoich  
Stojgniew, który od boku jego nie odstępuje...  
pierwszy stanie przeciwko niemu...

— Gdyby nas zdradzić chciał, — odezwał się  
znów ktoś inny — zabijemy go!

— A Sydbor? — odezwał się ktoś z gromady.

— O, ten mu służy jak niewolnik. Mamy  
innych...

Gwar i sprzeczka powstała wielka, tak że już  
Włast słów zrozumieć nie mógł.

Włast dłużej słuchać nie chciał, dość mu było  
na tem, co do uszu jego doszło, wrócił do swego  
konia, wsiadł na niego i powierzywszy się jego  
zmysłowi, pojechał. Koń, unikając zarośli, dostał  
się wkrótce na ubitą drogę i gdy Włast z lasu  
wyjeżdżał, widać już było zdala rozrzucone świa-  
tło nad Cybiną. Popędził więc konia i wkrótce  
stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach le-  
żała. Nie powstrzymał go nikt, wjechał więc do  
uśpionego zamku i zdjawszy z konia sakwy, po-  
spieszył do Ojca Gabryela.

## VI.

W blasku słońca sierpniowego, w świeżej zieleni drzew, zwieszających się nad Wełtawą, tj. dzisiejszą Mołdawą, cudnie wydawała się okolica Pragi ze wzgórzem Hradczyna, którego mury widać było sterczące wysoko. Orszak z kilkudziesięciu ludzi złożony, zbrojnych i dostatnio przybranych, zatrzymywał się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie.

Miasto już widać było.

Podróżni przybywali snąć z dalekiego kraju, konie mieli znużone i odzież pyłem pokrytą. Pomimo to orszak ten wyglądał okazale; składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie były piękne, broń świetna i jednakowa. Dowódcą tego orszaku był Mieszko, syn Ziemomysła, kniaź Polan. Widać było pośród niego Dobrosława, Własta Lubonia i starego jeńca, ojca Gabryela, którzy razem się trzymali na uboczu.

Mieszko jechał przez całą drogę wesóły i rozmowny, dopiero gdy na czeską wstąpili ziemię, czoło się jego chmurzyć zaczęło.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on poganin nie kłaniał się jeszcze.

Wszędzie po drodze spotykali ślady świeżego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte, obalone ołtarze stare, u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane a ściany rozwalonych świątyń ziel-

skiem porosłe, wśród których sterczały także znaki nowej wiary.

Na ten widok zniszczenia, wydającego mu się świętokradztwem, twarz Mieszka płonęła gniewem; dziwił się, iż starzy bogowie krzywdy swęj nie pomścili, i mimowolnie budziła się w nim wątpliwość o ich siłę.

Z temi w duszy wrażeniami Mieszko przybył pod Bolesławową Pragę.

Za łąką, na której odpoczywali, gaj się z téj strony poczynął gęsty i osłaniał kawał zielonej murawy, tworząc brzegi Wełtawy, która mrucząc swe czyste toczyła wały. Cicho było w ustroniu i chłodno, od oczu ludzkich zakrytem. Na falach rzeki, tuż u brzegu, kołysało się kilka czołen, a z nich właśnie gromadka strojnych dziewcząt wysiadła na murawę nadbrzeżną. Wśród wieńca dziewcząt, jakoby dobranych do wieku i miary, stała urodziwa dziewczica, którą po stroju i twarzy poznać było można jako panią. Głową całą, wzrostem bujnym, przewyższała towarzyszeki a podstawą poważną i dumną onieśmiałą wszystkie. Rysy jęj twarzy ostro się znaczyły i dobitnie, coś męskiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem. Widok gromadki niewiast poruszył Mieszka niewymownie. — Ukryty w zaroślach, przypatrywał się z zajęciem pani o dumnej postawie, gdy Dobrosław trącając go lekko w ramie szepnął:

— To kniahini Dąbrówka...

Zapomniawszy się, czy umyślnie, Mieszko wyszedł nagle z zarośla i stanął na widoku, aby

się swobodnie przypatrzeć królownie i pięknym towarzyszkom. Lecz zaledwie się ukazał, dziewczęta spostrzegły strojną postać nieznanomego mężczyzny, z okrzykiem przestachu pobiegły do czołen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dąbrówka nie ulękła się wcale i obróciła się śmiało a groźnie, spoglądając w stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił ją zapewne człowiek nie znany, który śmiał ją i jej dworskie panny podpatrywać.

Groźna twarz dziewczicy wcale Mieszka nie przerażała, dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na jej szyi krzyżyk wiszący — pochmurniał. — Znak ten spotykał wszędzie — nawet na szyi pięknej kniahini...

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem zawołała Dąbrówka.

— Piękna kniahini — rzekł ośmielając się Mieszko — jestem wojak podróżny... może mnie przyjmiecie.

Dąbrówka popatrzyła na niego ciekawie, z dźwięku mowy do czeskiej tak podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, z kąd przybył nieznanomy. Ubiór jego bogaty i płaszcz książęcy świadczył, że to człowiek znakomity.

— Héj! héj! — rzekła uśmiechając się żartobliwie — nie proście się na służbę do mnie; służba to ciężka, spokoju nigdy nie ma, wojaków moich głodem morzę, a często i policzkami ich obdarzam.

— Jednak mi jakoś nie strach téj grozy —

odparł swobodnie, przybliżając się ku niej Mieszko.  
— Cóż wy sługom płaciecie piękna pani?

— Ha! różnie, — poczęła wesoło Dąbrówka  
— czasem kijami, czasem różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. A wy także jesteście ukarania godni. Kto wam tu się wkraść pozwolił? Radzę wam uchodzić, bo moim dziewczętom każę na was uderzyć, a one wszystkie są dzielne wojaczki.

— A więc piękna kniahini wydajcie do wojny rozkazy... Kiedy wojna... to wojna... Gdy mi ją wypowiecie, na was pierwszą uderzę. Jam tu może też nie sam i nie bez obrony, a jak klasnę w ręce i swoich zwołam, wszystkie was wezmę do niewoli.

Dąbrówce widać spodobały się żarty, bo patrzyła na nieznajomego z coraz większem zajęciem.

— Iluż tam was jest na wojsko moje? Mam więcej żołnierzy na obronę niż wy mieć możecie do napaści — i to mówiąc wskazała ręką na Hradczyn.

— No, to zawrzyjmy z sobą pokój, piękna kniahini — rzekł Mieszko — dajcie mi tylko okup, choćby wianuszek wasz, to was puszcze.

— Kto? ja? wam okup? Wianuszek wam się zachciało? Chyba wy mi się wykupicie, gdy was z życiem puszcze.

— Zgoda! Przyjmiecie okup odemnie? — zapytał.

Dąbrówka uśmiechnęła mu się bez gniewu.

Mieszko zdjął z palca gruby złoty pierścień

z czerwonym drogim kamieniem i nie nie mówiąc podał go Dąbrówce.

Kniahini, spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć, czy odrzucić. Milczała.

— Chcieliście odemnie okupu — rzekł Mieszko — oto go macie. Nie wielki on jest, ale też wina moja nie straszna.

To mówiąc, zbliżył się do kniahini i w twarz ją zuchwale pocałował, właśnie w chwili, kiedy jakby na próbę pierścień kładła na palec.

Z okrzykiem gniewu odepchnęła Dąbrówka kniazia tak silnie, że się zachwiał, i pierścień zostawiając w jej rękach, uszedł śpieszno w zarośla, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stojgniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim spieszyli do koni. Stały one już w pogotowiu na łące i gdy Stojgniew ludzi szykował i dobierał, śmiała Dąbrówka puściła się sama w pogon za uciekającym nieznajomym i z zarośli miała czas przypatrzeć się Mieszkowi, gdy na koń siadał z całym orszakiem. Chciała zrazu nań zawołać, aby odebrał pierścień, lecz widząc go w tak świetnem otoczeniu, zawstydzila się i zatrzymała go na palcu, nie wątpiąc, że ktokolwiek był ten nieznajomy, zjawi się w zamku. Stała w zaroślach zadumana, dopóki orszak świetny nie ruszył ku Pradze, potem wróciła do dziewcząt, wsiadła z niemi w czołno i popłynęła do stóp wzgórza, na którym wznosił się Hradczyn.

Zwolna drapiąc się po przykrój, stromój dro-

dze na górę, orszak Mieszka zbliżał się ku wałom opasującym gród Bolesława.

Zdała widać tu już było wielką potęgę i umiejętność przyniesioną ze Zachodu. Mury kamienne otaczały zewsząd warownię, nad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał krzyż wielki, na kościele św. Wita, którego widok przejmował znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad głowy wszystkich, nad dwór książęcy, nad góry i lasy, w obłoki wzniesiony królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem, jednoczył świat cały — a Mieszka przejmował trwogą... Dobrosław pospieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradczynie, opowiedział się u bramy, poznany, został wpuszczony i do Bolesława wprowadzony.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się do kolan i oznajmując przybycie swego pana, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet zwołał służbę, kazał sobie podać świetny ubiór i kołpak książęcy, przypasał miecz i ująwszy w dłoń laskę zawołał na starszyznę, aby mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego młodzieńca i na jego ramieniu wspierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kniaź w podwórze.

Wnet też ukazali się we wrotach przybywający goście. Mieszko zsiadł żwawo z konia, przy-



bliżył się do starego kniazia, i pochylił nisko głowę, zdejmując kołpak.

— Sąsiad do sąsiada, pobratymiec do pobratymca — rzekł — przybywam do was Miłościwy panie z braterstwem i pokojem.

— A ja wam jako bratu rad jestem — zawołał Bolko, obejmując go za szyję.

W tej chwili, wśród uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniął brata Wacława i drgnął; po chwili milczenia stary kniaź wskazał na syna.

— Dziecko to moje będzie mu też druhem — rzekł, a potem wzięwszy się pod rękę, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi zdawał się niepomiarne okazałym.

Gdy weszli do obszerniej komnaty, w której wisiał na ścianie krzyż Zbawiciela i pełno obrazów męczenników świętych, Bolko, usadziwszy gościa na ławie, kwiecistym kobiercem okrytej przy oknie, z którego się rozszerzał prześliczny widok na Pragę i jej okolice, rzekł poważnie:

— Zapóźno przybywasz do mnie: Bolko już nie ten, co był. Patrz na moją postać zgrzybiałą, do grobu idę, o śmierci myślę...

— Będziecie jeszcze długo żyli i panowali — odparł Mieszko. — Macie pokój w domu i siłę, syna, który wam stoi przy boku i sprzymierzeńców potężnych...

Bolko machnął ręką.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się zmieniają — mruknął. — A czemuż wy ich tam gdzie ja nie szukacie?

Mieszko spojrzał bystro, ale nie odpowiedział.

— Niemców nie pożyć — dodał stary — trzeba mir z nimi robić, aby się w domu zagospodarować. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie czego potrzeba.

Mieszko zadumał się.

Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie wojaków i siłę... zmusić lud trzeba.

— Mieszko nie na to nie odpowiedział. Bolko popatrzył nań i przestał nalegać. Z kolei polański książę począł rozmowę.

— Miłościwy panie — rzekł — nie darmom przybył do was, jeden u nas język, jedna krew, chcemy obcych pożyć, dajmy sobie ręce.

Bolko zamyślił się.

— Jakże to może być, jeśli przy bogach swoich stać będziecie? — rzekł.

— Wszakże Niemcy się nieraz z Wilkami, Obotrytami i Lutykami łączyli, choć ci poganami są — odparł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno — westchnął stary książę — siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem... Uczynimy przy mierze Mieszku, uczynimy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Książę polański spuścił głowę i mileżał.

Bolko poklepał go po ramieniu.

— Myście ino o tem, wszystko za tem pójdzie — rzekł nalegająco.

Właśnie, gdy słów tych domawiał stary książę, wszedł dworzanin z oznajmieniem, że chleb i sól czekają. Wspaniała wieczerza już przyrządzoną była w rozległej komnacie. Ogromne stoły dla panów i ich dworów były ponakrywane. Dla dwóch książąt zgotowane były przy osobnym stole dwa siedzenia pąsowem sukniem okryte. U drugiego stołu tuż za ojcem siadł młody Bolesław, a z nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwracały się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszka i starszyznę jego. Na dworze Bolka był już ten obyczaj, chrześcijański i rycerski, zaprowadzony, że panie współ z rodziną zasiadały przy stole. Gdy więc Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, innemi drzwiami wchodziła gromadka niewiast, pomiędzy którymi Mieszko ujrzał Dąbrówkę. Nie dał jednak poznać po sobie, że ją spotkał nad Wełtawą. Książkini wcale nie trwożliwa uśmiechała się, mierzając go oczyma i usiadła obok ojca. Stary Bolko, wskazawszy gościowi córkę, zaczął go bawić wesołą rozmową. Miód i wino podawano obficie, a starzec po pierwszym kubku poweselał widocznie.

Rozmowa toczyła się rażna, rubaszna, obyczajem owego wieku. Bolko spytał gościa o żonę. Zagadnięty milczał.

Mnie już wszystkie razem niewiasty zobojętniały — rzekł po chwili Mieszko — i przytem spojrzał na Dąbrówkę, która mu się mile uśmiechnęła.

— Wam się trzeba ożenić z chrześcianką — rzekł Bolko — najlepiej ona i wiary nauczy i zachęci do niej.

Mieszko spojrział w oczy staremu, trzymając kubek w rękę. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem? pomyślał.

— Dajcie mi córkę — rzekł Mieszko śmiejąc się — wezmę ją.

Stary zmarszczył się trochę.

— Nie radbym dał ją mimo jój woli — rzekł — gdyby chciała, kto wie?... Jest tam u was pono żon kilka, toćby trzeba najpierw je wygnać...

— Nie będzie mi ich żal — rzekł Mieszko. Ponieważ kniaź czeski nie opierał się, Mieszko nabrał otuchy.

Tymczasem kubki się napelniały i gwar coraz większy powstawał. Czesi Polan na jutrzejsze łowy powoływali, Stojgniew przystawał na to.

Biesiada przeciągała się długo, ale o swatach już mowy nie było. W końcu gdy misy były powypróżniane, a niewiasty znikły niepostrzeżenie, stary Bolko kazał synowi gościa odprowadzić do przeznaczonych mu izb.

Zwolna gwar na zamku ustawał i cisza zalegała nocna wokół, gdy stary Bolko, nie mogąc zasnąć ani na chwilę, kazał przywołać księdza Prokopa, który był jego spowiednikiem i doradcą w każdej wątpliwój sprawie.

— Ojciec mój — rzekł kniaź do niego — rady twój potrzebuję... Wiecie kogo mam gościem?

— Poganina upartego, żyjącego w grzechu.

— Tak jest. A czyżby nie było zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego się nawrócił?... na świętą wiarę Chrystusową?...

— Dalby to Miłościwy Bóg — zawołał ksiądz Prokop, ręce podnosząc do góry i patrząc przenikliwie na starca.

— Mieszko prosi o Dąbrówkę za żonę...

— Ze chrztem razem? — spytał ksiądz.

— Nie odmawia go... lecz z poganami swymi musi się wpierw zabezpieczyć... Mam mu dać córkę za żonę?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wujdzie na te kraje... a dlaczegoż byście dziecka nie mieli poświęcić dla Boga?... Daliście mu już jednego syna i córkę, dajcie i drugą, a prześlągacie gniew i pomstę Bożą!

— Dziecka nie chciałbym zmuszać — odezwał się książę — idźcie jntro rano do niéj, mój Ojczy, przygotujcie ją, ośmielcie, a potem przyślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop odszedł. Bolko, teraz uspokojony w wątpliwościach, zdał się na spoczynek.

## VII.

Już słońce było wysoko na niebie i w podwórzu gwar i wrzawa rozlegała się wesółą, gdy starzec zbudził się ze snu ciężkiego, w którym obraz zamordowanego brata Wacława ciągle mu się przesuwiał przed oczyma. W tem weszła do

sypialni jego Dąbrówka, strojnie ubrana. z wesolym uśmiechem na ustach.

-- Dąbrówko! -- rzekł kniaź zdziwiony jęj wesolością a widziałaś się z księdzem Prokopem?

— Idę od niego, Miłościwy ojczy i panie.

Cóż ty na to? czy chętnie pójdiesz, niosąc krzyż między pogany?...

Tak, pójdę z ochotą zawołała Dąbrówka. -- Mieszko strasznym mi się nie wydaje...

— A nie żal ci będzie Hradczyna i Pragi? zapytał smutnie i mnie ojca starego, sióstr i braci?...

— O żal okrutny — zawołała Dąbrówka ale wszakże sam Pan Bóg powołuje mnie do świętego posłannictwa, abym wiarę Chrystusa krzewiła między pogany...

Idź więc, idź — rzekł stary ze łzami w oczach — niech Bóg cię błogosławi, a teraz chodźmy do gościa...

I stary kniaź klasnął na sługi, aby go ubierać przyszli.

Dąbrówka wyszedłszy z sypialni ojca, weszła na salę gościnną, gdzie już Mieszko czekać się na nią zdawał.

Piękna kniahini — rzekł śmiało — my poganie wierzymy w dołę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę ja, że los mi przeznaczył was za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu... on mnie odesłał do was... Powiedźcie, chcecie mnie za męża?

Dąbrówka spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

Choćbym was i nie chciała, to muszę wziąć, kiedyście mi wczoraj narzucili pierścień... Ale mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że na gród pojedę, gdzie pełno niewiast, że siódma czy dziesiąta sięde z niemi? Jam przecież Bolesławowa córka i chrześcianka, a u nas obyczaj mieć jedną żonę i jednego męża.

— Nie będzie na grodzie nikogo oprócz was, Miłościwa kniahini, i służby waszej.

Pierwój chrzest, potem wesele — dodała Dąbrówka.

Mieszko się zachmurzył.

— Weźcie mnie poganinem — rzekł — i na-  
wróćcie na wiarę waszą. Nie wzdrygam się jój  
przyjąć, ale ludzi moich i naród muszę wziąć  
w kluby, aby ja i wy nie przyplacili głową...  
Jeżeli ufacie mi, pójdziecie ze mną.

Spojrzał jój w oczy; westchnęła i kładąc rękę  
w jego dłoń rzekła:

— Wierzę wam i pójdę z wami.

Na te słowa Mieszko objął ją ramieniem  
i ucałował.

W téj samój chwili wszedł stary Bolko z swym  
dworem na salę. Dąbrówka wyrwała się z objęć  
Mieszka i uciekla, on w ramię starego ojca po-  
całował a potem uściskał brata.

Na całym grodzie w téj godzinie wiadano,  
że Dąbrówka kniaziewi polańskiemu przyrzeczona.  
Śpiewy, uczta, okrzyki rozlegały się po Hradczy-  
nie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród ogólnej wesołości nikt nie zważał na

ludzi przybyłych z Mieszkiem, którzy smutni i jakby strwożeni stali na uboczn. Stojgniew a za nim Wojsław, koninszy, obaj wybiegli niepostrzeżeni na podwórze i podali sobie ręce.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stojgniew — jadąc tu wiedziałem, co nas czeka... ale wiem też, co jego czeka! — dodał zaciskając pięści...

— Gdy Dobrosławy i Własty zaczęły nam się kręcić u dworu, czułem, co z nimi idzie... Niewola... Bóg obcy...

Rozśmiał się Wojsław.

— Niedoczekanie ich rzekł. — Wracajmy. Naradzim się w drodze, a w domu będziemy wiedzieli, co robić...

Podali sobie znów ręce. Wojsław twarz obojętną ułożywszy, powrócił znowu do Mieszka. Włast przez cały dzień się nie pokazywał, a nie był też potrzebnym. Jako kapłan zaraz z wieczora zapukał do księży przy kościele św. Wita, prosząc ich o gościnę. Ze zdumieniem i radością przyjęto go tu wraz z Ojcem Gabryełem, który złamany drogą legł zaraz do spoczynku.

Włast a raczej Ojciec Mateusz, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, oczekiwał z uciecierpliwością następnego poranka, w którym po tak długim od ołtarza oddaleniu miał znów niekrwawą odprawić ofiarę. To też nazajutrz, ledwo słońce ukazało się na niebie, on już stał drżący i zapłakany przed ołtarzem; przy drugim Ojciec Ga-



bryel odprawiał mszę św. dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie.

Mateusz ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie swój rodziny i narodu. Lecz myśląc nad trudnem tem dziełem, płakał.

Wszystko jednak, co go spotkać miało, ofiarował Bogu i gotował się młody kapłan choćby na męczeństwo.

Dobrosław był daleko lepszej myśli, ufając, że Mieszko poczynąć sobie będzie tak, żeby się na niebezpieczeństwo nie narażać.

Lecz napróżno starał się dodawać otuchy Włastowi. Ten wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jadąc z Krasnej Góry, jak się tam odgrążano i wymieniano imię Stojgniewa. Przyznał więc Dobrosław, iż należało się mieć przed Stojgniewem na baczności, nie donosząc jednak o niczem kniaziowi.

Nazajutrz kniaź Mieszko udawał się w drogę z powrotem. Już konie stały w podwórzu, gdy obiad jeszcze podawano na pożegnanie. Wyszła i Dąbrówka do narzeczonego, aby mu dobre słowo dać na odjezdnem. Cały dwór Bolesława dla uczczenia gościa był na nogach, dziesięciu jezdnych oddano do orszaku, by przeprowadzili Mieszka do granicy łużyckiej. Tak więc wesoło i z miłością wielką rozstawali się, i cały poczet ruszył z Hradczyna uroczyście, przy okrzykach, które się jeszcze długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław, ani Włast nie śmieli już potem rzec słowa kniaziowi, aby w podróży baczny

był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki im towarzyszyli ludzie Bolka, niebezpieczeństwa nie było.

Gdy ich obdarzonych odprawiono z pozdrowieniami do Pragi, a książę sam pozostał z orszakiem, przypadł spoczynek w lesie, dla skwaru, który tego dnia panował. Wszyscy się do snu pokładli.

Właśc też szukając cienia, odszedł i położył się w zaroślach, gdy w tem usłyszał tuż obok siebie cichą rozmowę. Leżąc w bujnej trawie widzianym być nie mógł, lecz poznał od razu, że to Stojgniew i Wojsław rozmawiali z sobą.

— Dziś na noclegu... czego dłużej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas obcym zaprzędają....

— Czekajmy do domu — mówił Wojsław — Sydbora namówimy z nami.

— Aby zdradził — rzekł Stojgniew. — Nie potrzeba nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wrażę i nim się przebudzi ducha wyzionie! We dwóch im trzem damy radę. Dobrosław go prowadził, syn Lubonia jawnym jest chrześcianinem. Widziałem go idącego do ich świątyni, obcującego z ich czarnymi wróżbitami.

Sprzeczali się jeszcze czas jakiś, lecz Stojgniew postawił na swoim, i z zarośli wyszli, umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, zamordują księcia i dwóch chrześcian.

Właśc, zimnym potem oblany, wstał i pospieszył do Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie księcia oznajmić.

Dobrosław stał z koniem swoim w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc było Włastowi opowiedzieć mu pochwyconą rozmowę.

Mieszko pod dębem, na wysłanem suknie miejscu, spoczywał spokojnie. Dobrosław budzić go nie śmiał, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy się kniaź zbudzi.

Włast poszedł krążyć dalej, aby innych przed czasem nie dopuścić. Szczęściem rżenie koni zbudziło wkrótce Mieszka i Dobrosław pospieszył ostrzedz go o grożącym niebezpieczeństwie.

Słyszac to Mieszko wcale nie okazywał poruszenia. Wstał i ręką odprawiając Dobrosława, słowa więcéj nie rzekł.

Wnet dano znak, aby siadać na konie. — W drodze aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko najmniejszój nie okazywał po sobie trwogi. Późnym już wieczorem kazał się zatrzymać na nocleg w lesie, gdzie zdala widać było płynącą wśród skalistych brzegów Łabę.

Kniaź pod starą sosną posłanie sobie przygotować kazał, głośnie zapowiadając Stojgniewowi, ażeby wszyscy wcześniej do snu się pokładli, gdyż wyruszą z pierwszym brzaskiem.

Wkrótce czarna noc z milczeniem posępnem osłoniła obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzali bliżej, aby być panu swemu w razie potrzeby pomocą. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął. W chwilę potem, siedząc zaczajeni w krzakach, usłyszeli, jak Stojgniew i Wojsław wstali po cichu i skra-

dać się poczęli ku miejscu, w którym kniaź spoczywał.

Obaj mordercy stanęli już przy Mieszk, gdy nagle krzyk stłumiony się rozległ. Nadbiegający Dobrosław ujrzał, jak kniaź schwyciwszy Stojgniewa, gdy się ten najmniej spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął i udusił.

Wojśław przelekły umknął w las na oślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stojgniew już ducha wyzionął, a kniaź krzyknął, aby rozpalono ogień. Gdy pachotkowie ogień niecili, Mieszko stał spokojnie przy trupie, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy. Wtem ogień zabłysnął a służba ze snu nadbiegła; strach ogarnął wszystkich, nikt słowa wymówić nie śmiał.

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa wrzucili do rzeki... Posłano szukać Wojśława, lecz go nigdzie nie znaleziono.

Gdy ciało Stojgniewa potoczyło się do rzeki, Mieszko słowa nie wymówiwszy, legł na posłanie, spał się na rękę i odpoczywał. Ludzie przerażeni wrócili na swoje miejsca. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław; siedli wszyscy na konie i w milczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

## VIII.

Zaledwie godzina upłynęła, odkąd Mieszko z poczem na gród nad Cybinę powrócił, a już niemal cały dwór wiedział, zkąd i z czem wracali.

Śmierć Stojgniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach dworzan było widać smutek i postrach. Jawnie nie mówić nie śmiano, ale po kątach szeptano i odgrażano się.

W niewieścim dworze słyhać już było płacz i narzekanie; popłoch panował wszędzie. Kniżni Górką wyglądała ciekawie brata, chcąc go wybadać, czy to prawda, co ludzie opowiadali.

Mieszko natychmiast wysłał gońca do Sydbora do Gniezna, aby niezwłocznie przybywał do niego. Dobrosław objął teraz zwierzchnią władzę nad dworem. Włastowi już w podróży oznajmił Dobrosław, że wróciwszy do kraju będzie się mógł udać do Krasnej Góry do ojca, pod tym atoli warunkiem, że na każde zawołanie się stawi. Przybywszy więc na zamek, Włast natychmiast wybrał się w drogę.

Pograżony w smutnem rozmyślaniu zbliżył się ku dworowi, a tętent konia wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły. Pierwsza wybiegła Rożana na jego spotkanie, za nią szedł stary Luboń, z brwią namarszczoną. Na widok syna wnet się rozchmurzył, a kiedy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zawołał:

Przecie kniaź się ulitował nademną. — Gdzieżcie to byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kniaź wziął was z sobą, lecz nie wiedzianno dokąd.

— Jeździliśmy do Czech — odparł Włast.

— Do Czech? — spytał chmurno stary. Po co? łup przywieźlicie wielki?

— Myślę, że chyba przymierze, a to lepsze niż łupy.

— Stary się zatrzęsł i nie pytał więcej. Przyszła też babka i wszystkich wezwała do wieczerzy. Późno już było, gdy Luboń z ławy powstawszy stanął naprzeciw syna i odezwał się:

— Jarmirz ci na jutro odzież da nową, jedziemy w swatę. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posażną, czas ci życie zaczynać i brać się do gospodarstwa.

Włast zbladł i westchnął, zbliżył się do ręki ojca i ucałowawszy ją rzekł spokojnym ale śmiałym głosem:

— Ojciec a panie Miłościwy, nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, iż całą prawdę objawić trzeba. Oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową i poprzysiągłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to wśród głuchego milczenia wyrzeczone przerwał krzyk starój Dobrogniewy, która kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśnionemi. Luboń zuchwalstwem syna osłupiał, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki, i rękę podniósłszy do góry, z całej siły uderzył syna, tak że ten padł na ziemię. Skroń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew tryśnęła z niej. Ból, przestרח i znużenie sprawiły, że zemdlął.

Rożana, którą krzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, uknęła na ziemi i z płaczem trzeźwić go poczęła.

Luboń stał wcale nieporuszony tem co uczynił.

Zwolna Włast za staraniem siostry odzyskał przytomność, powstał na nogi i o stół się oparł.

— Psie niewierny! — krzyknął Luboń — myślisz, że ci dam czynić co zechcesz przeciwko woli mojej? Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci, posłusznym być musisz, uczynisz co każe...

Dobrogniewa ruchem rąk i głowy potwierdziła mowę syna. Włast milczał.

— Chrześcianinem być ci nie pozwolę... — szczenię wolę przybrać za dziecko.

— Ojcie i panie — odezwał się Włast — usłucham rozkazu twojego we wszystkim, lecz wiary się nie wyrzeknę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym to miał przypłacić życiem...

Luboń w twarz zakrwawioną dał mu bezlitosny policzek. Rożana obejmując brata rękoma, płakała. Babka ciągle pięściami groziła wnukowi.

— Będiesz posłusznym psie niewierny, lub zginiesz — zawołał Luboń, drżąc od gniewu.

— Czyń ze mną, co ci się podoba Ojcie — odparł Włast — jestem w mocy twojej.

Na krzyk i płacz Rożany nadbiegł Jarmirz i stanął w progu.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń — suchy chleb mu dawać i wodę! związać go! niech mrze z głodu!

Napróżno Jarmirz i córka błagali ojca i zwracali się do Własta, aby uległ, lecz Włast milczał — a ojciec coraz sroższym zapalał się gniewem.

— Do jamy z nim! — krzyczał coraz silniej.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła często za więzienie w lecie, a w zimie za schowanie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijście zawałono drzewem i kamieniami.

Włast szedł posłuszny.

— Będiesz posłusznym? — krzyknął Luboń, widząc już syna w progu.

— Ojcze, nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To powiedziawszy Włast, zwrócił się do Jarmirza i rzekł spokojnie:

— Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość tak słabego na pozór młodzieńca dziwne na wszystkich uczyniły wrażenie. Stara Dobrogniewa wściekała się, Rożana płakała, Luboń drżał cały, Jarmirz był przerażony.

Gdy Włast wyszedł z Jarmirzem na podwórze, ten rzekł do niego:

— Poddajcie się ojcu, w téj jamie długo nie wytrzymacie.

— Prowadź mnie — rzekł Włast — niech się stanie wola jego... śmierci się nie lękam...

W głębi podwórza znajdowała się ta studzienka wilgotna. Jarmirz odwalił drzwi i litością przejęty puścił sznur, który trzymał w rękę i szepnął:

— Uciekaj!



— Czyń co ci kazano — rzekł Włast. —  
Uciekać nie mogę i nie chcę.

Trzeba więc było spełnić rozkaz surowego ojca. Jarmirz pomógł Włastowi spuścić się w jamę, sam siadł nad nią i oparłszy się na rękę zasnął, bo była to już noc ciemna. Gdy dzień zaczynało, zbudził się i chcąc słowo pociechy rzucić biednemu więźniowi, podniósł do góry drzwi ciężkie. Zdziwił się niemało, gdy go ujrzał w głębi klęczącego i modlącego się spokojnie. Powoli spuścił drzwi i odszedł zadumany.

I Luboń spędził tę noc bezsennie. Zamiast iść na posłanie, siadł sobie na przyzbie przed dworem, i pozostał tam, dysząc gniewem do rana.

Dzień cały upłynął bez zmiany. Włastowi spuszczano tylko trochę chleba i wody. Luboń nie wyjechał ani na łowy, ani na pole, nieruchomy przesiedział w dworku i do ust żadnej strawy wziąć nie chciał. Pił tylko wodę.

Już znowu się noc zbliżała, gdy na podwórzu rozległ się tętent i wkrótce potem wszedł do izby mężczyzna oponczą osłonięty.

Był to Wojsław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy kniaź pochwycił Stojgniewa. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, widać szukał przytułku u niego.

Gospodarz, który o niczem nie wiedział, sądząc nowoprzybyłego sługą Mieszkowym, przyjął go po staremu grzecznie i serdecznie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał — pewno was kniaź przysłał? byle nie po syna.

Wojśław wstrząsnął głową i siadł na ławie w milczeniu.

Luboń popatrzył ciekawie na zmienionego i wybladłego krewniaka.

— Coś wy nie swój jesteście — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojśław ochryplym głosem.

— Cóż mam wiedzieć? siedzę w domu...

— Gdzie syn wasz? — zapytał Wojśław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń; od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego wstydu, że dziecko mu posłusznem być nie chciało, i że mu je chrześcianie wydarli; cicho więc odparł:

— Syna wyprawilem w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojśław — toście go zmusili chyba... przecież go widziałem w Pradze, że z chrześciańskimi wróżbitami w ich świątyni odprawiał tam jakieś obrządki... a tym, co do nich należą, żenić się nie wolno...

— Tak jest — zawołał porywczo Luboń — zmusilem go do porzucenia téj nowój wiary...

— Nic wam nie mówił o naszej podróży? — spytał dalej Wojśław.

— Nie pytałem go wiele — rzekł Luboń ręką machając.

— Nie powiadał wam więc, żem z jego przyczyny ledwo nie nałożył głowę... a Stojgniewa śmierci on tylko winien. Widzieli go pacholkiem, jak w krzakach leżąc podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kniazem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony.

Wojśław mocno wzruszony zerwał się z ławy.  
— Co mam kłamać? Mieszko nas cesarzowi sprzedaje. Do Pragi jeździł o naszą skórę się targować... Rzecz jawna... Swoją dziewczkę Bolko mu daje i dobre wiano, swoją przyjaźń i cesarską mu obiecuje. Myśmy to ze Stojgniewem widzieli, mieliśmy więc czekać, aż nam na kark włożą jarzmo?

Reszty Wojśław nie dopowiedział i po chwili dopiero kończył.

— Gdyśmy nocą przyszli do kniazia, już nas oczekiwał, przez syna waszego ostrzeżony... Stojgniewa zdusił jak chrząszcza... jam z życiem uciekł... tułam się.

Milczenie nastąpiło głębokie.

Luboń stał zamyślony, Wojśław zaś chodził po izbie i wreszcie zapytał:

— Dacie mi przytulek?

— Dam ci w lesie chatę na pasieczysku — rzekł Luboń.

— Bylem gdzie twojego syna psią wiarę nie spotkał — zawołał Wojśław — bo choć on was usłuchał i żonę bierze, ja mu nie ufam. Zdradzi on ją i was i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej nie puści, co do człowieka przylega jak smoła...

Stary Luboń zamyślony oczy spuścił ku ziemi.

Potem Wojśław zaczął opowiadać szczegółowo, jak Mieszko Stojgniewa udusił i że po Stojgniewie władzę oddał Dobrosławowi. Długo tak z sobą rozmawiali, w końcu rzekł Luboń:

Znacie mnie! ja z wami. Nie zważajcie na to, że mnie Mieszko ku sobie ciągnąć zechce... że mu się poklonię... Trzeba będzie rąk do roboty, ja i ludzie pójdziemy z wami.

Dłoń podał Wojsławowi, i obaj udali się na spoczynek.

## IX.

W grodzie nad Cybiną od przybycia Mieszka z Pragi nic się prawie nie zmieniło. Książ dla wojaków był jeszcze szczodrzejszym niż dawniej i widocznie ich sobie jednał. Kilka razy zajrzał do kontyny i pogadał z gęślarzami przy niej siedzącymi.

Na kniaziowskim dworze był z dawien dawna obyczaj, że po ukończonych żniwach spraszano mnóstwo starszyny ze wszystkich okolic na ucztę, a przy tem odbywały się zwykle narady. W tym roku zgromadziło ich się mnóstwo wielkie, same siwe głowy, najznakomitsi ziemianie polańscy. Zasiadli wszyscy w wielkiej izbie na ławach i zaczęli naradzać się, jakby się bronić przed strasznymi napadami margrafów.

Wtem przemówił Mieszko:

— Jedno wam powiem, choć mnie mówić trudno... Co bądź poczynąć będę, co zrobię i gdzie pójdę, niech was serce nie boli, nic gwoli złemu nie uczynię — ale gwoli temu, aby nam i plemieniu naszemu dobrze było. Szerokie ziemie nam się należą. Czech nam wziął Chrobaty. Czech nam

zajął Śląsk. Héj, dalej po Wisłę, nasz to język. ziemia nasza po morze do Odry i Łaby, wszystko to nasze... wszystko weźmiemy rozumem, potem miecza i krwi nie żalując... Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni cesarstwem... Jeśli nie ja, to syn mój — wnuk mój może! ale to będzie! to być musi!

Mieszko mówił z zapalem. lecz nagle jakby się opamiętał, że za wiele powiedział, umilkł.

Wszyscy też wstali z ław, ręce popodnosili do góry, wołając:

— Tak będzie! tak będzie!

Jeden z najpoważniejszych ziemian, Jaksa, Białym zwany, odezwał się:

— Miłościwy panie, nie pytaj! Czyń! Tyś pan, tyś kniaź, masz siłę, masz wolę... niech gawieź mruczy! ty idź i czyń!...

— Idźcież ze mną! — zawołał Mieszko, uderzając się w piersi.

— Pójdziemy! — zawołali wszyscy głośno.

We drzwiach izby na ten krzyk zjawilo się pełno ludzi i wszyscy krzyczeć zaczęli:

— Mieszko niech żyje!

Czarne oczy kniazia zapłonęły odwagą i nadzieją. — Trwało to chwilę, potem pokłonił się ręką dziękując...

Tak, krótka ale stanowcza skończyła się narada, i teraz wesola nastąpiła uczta. Tylko około gaju świętego głucha panowała cisza i tylko zdala słyszać było groźne szemranie wróżbitów i gęślarzy.

\*

\*

\*

Włast już drugi miesiąc na dnie wilgotnej jamy modlił się i cierpiał. Jarmirz i siostra, mimo woli ojca i babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę i błagali go, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w dole, tem silniejszym stawał się na duchu. Na wilgotnej ścianie umieścił krzyż, z dwóch kawałków drzewa łykiem związanych, i większą część dnia spędzał przed nim na rozmyślaniach i modlitwie.

Rożana i Jarmirz uchyliwszy drzwi, przypatrywali się nieraz ciekawie, przejęci trwogą jakąś na widok téj wytrwałości i męstwa.

Stary Luboń pomimo prośby córki przebłagać się nie dawał, a jednak myśl o synu straconym i tak niespodziewanie odzyskanym, a teraz na tak okrutną kaźń skazanym, łamała mu serce. Po nocach nie sypiał, łzy mu oczy zalewały, ale gniew je osuszał.

Ustąpiłby był może wreszcie i wysłałby syna gdziebądź, lecz wstyd mu było Dobrosława i Mieszka, przed którymi skłamał tak samo jak przed Wojsławem, że syna ożenił i wysłał na własne gospodarstwo. Bał się więc, aby go Włast nie oskarżył przed Mieszkim, a przytem stara Dobrogniewa podżegała go ciągle, że Włast wycieńczony w końcu poddać się niewątpliwie musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie a Włast siedział w téj ciemnicy i modlił się, i zgadzał z wolą Bożą. Odzież przesiąknięta wilgocią spadała z niego, barłóg, na którym leżał, cuchnął stęchli-

zna, ale on się nie skarżył; a gdy Jarmirz ubolewał nad nim, odpowiadał łagodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, że Bóg zsyła mu do serca pociechę.

Słyszając to Jaźmirz stawał zdumiony; nie mógł pojąć téj sily, która się nie wyczerpywała cierpieniem. Myślał ciągle o jakimś ratunku dla Własta, lecz nie widział żadnego. Gdyby mu dopomógł do ucieczki, zdradaby się wydała, i stary Luboń nigdyby mu nie przebaczył; a on kochał tak bardzo Rożanę i spodziewał się, że mu ją dadzą.

Złożyło się jednak inaczej niż myślał. Ukrywający się ciągle Wojsław często do Lubonia przybywał i narady z nim miewał. Mężczyzna to był urodziwy i na dworze pańskim wychowany. On i Rożana spoglądali na siebie mile; czy przemówili do siebie, czy się ułożyli, czy Rożanie naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą — któż to zgadnąć może? Jednego poranku Rożana zniknęła bez śladu.

W domu zawrzało straszliwie, pogoń popędziła na wszystkie strony; tyle się tylko dopytano, że Wojsław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmirz się zaklinał, że go zabije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnej Górze. Trzeciego dnia Dobrogniewa położyła się i w kilka dni później, otoczona babami, co ją leczyć miały, umarła. Luboń pozostał sam, spoglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił i nie chcąc się przybliżyć do niej.

Jarmirz, nie mający teraz nic już do strace-

nia, litował się coraz bardziej nad Wlastem. Pewnej nocy przyszedł potajemnie, uchylił drzwi, zbudził Wlasta i począł go naglić, aby uciekał.

— Weźmiemy dwa konie... popędzimy w las — szepnął — mnie tu już nic nie trzyma...

— Jarmirzu, bracie mój — rzekł Wlast — nie godzi mi się uciekać od męczeństwa, którem Bóg mój mnie dotknął... Mam zasługę, cierpiąc, stracę ją, uciekając.

Jarmirz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdawało mu się, że biedny Wlast chyba oszalał.

Tymczasem Wlast, choć mocny na duchu, na ciele upadać zaczął. Od wilgoci dostał ciężkiej febry, co drugi dzień leżał trzęsąc się, a potem w gorączce leżał nieprzytomny.

W takim stanie Jarmirz go nareszcie wychudłego, osłabionego, wyniósł z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, напоił ciepłym miodem i gdy sen go pokrzepił, zmusił go niemal do ucieczki.

Wlast był jednak tak osłabionym, że choć go Jarmirz podtrzymywał, długo na koniu usiedzieć nie mógł. Po godzinie jazdy zatrzymali się w gęstwinie, bo biednego więźnia znów położyć trzeba było.

Jarmirz nie wiedząc sam, co począć z chorym, na losy się zresztą spuszczał, pozostawił śpiącego chorego i popędził przez las do grodu nad Cybiną. Za stróża przy Właście został stary pies, który pobiegł za Jarmirzem i teraz na rozkaz jego położył się przy chorym panu i koniu.

Już był dzień jasny, gdy Jarmirz stanął w grodzie. Pierwszą, co tu zobaczył, była Jarczycha.



Gdy ję Jarmirz opowiedział, co się stało i jak zostawił w lesie Własta, załamała ręce i padła na ziemię, a potem wstała i pobiegła dobijać się do Dobrosława. Zrazu Dobrosław zrozumieć ję nie mógł, wierzył bowiem, że to Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zawołała Jarmirza, odkryło się wszystko i Dobrosław pobiegł najpierw do kniazia, a zaraz potem siadł na konia i popędził do lasu.

Zastali Własta śpiącego jeszcze i psa u nóg jego: Dobrosław ukląkł przy nim i objął go ramionami. Docuciwszy go, inaczęj do grodu wieść nie mógł, jak między końmi na rozwieszonych opończach.

Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. Wprawdzie iskierka życia tlała w nim jeszcze, lecz siły całkiem były wyczerpane.

Kiedy z Krasnej Góry Luboń leciał w pogoń z czeladzią na oślep w inną zupełnie stronę, Dobrosław z Jarmirzem bezpiecznie dojechali na zamek. złożyli w izdebce u wrót na dworcu kniahini Górki chorego, którego Jarczycha pilnować i leczyć się zobowiązała. Jarmirz też został przy nim.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tem, co się stało, kniaź wysłuchał, nie dając jak zwykle żadnej oznaki zdumienia, ani oburzenia. Kazał Własta wziąć na gród i wieczorem namysliwszy się, posłał komornika po Lubonia, ale go w domu nie było. Biegał on po okolicy, szukając śladów ucieczki Własta i Jarmirza.

Trzeciego dopiero dnia wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, aby się stawiał natychmiast do kniazia. Sił miał niewiele, lecz rad nie rad pojechał.

Mieszko powitał go na pozór twarzą pogodną.

— Toście zapewne na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? — spytał. — A no jakże mu się powodzi?

— Miłościwy panie — odparł stary ochrypłym głosem. — Wiele mnie nędzy spotkało, zmarła matka... córkę mi porwano bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, okradł mnie i uciekł pewno gdzie w świat...

— Toż trzebaby wam syna z nowosiedlin sprwadzić z żoną do domu... mielibyście pociechę...

Luboń milczał; gniew go dławił.

— Polubiłem waszego Własta; choć do wojny się nie zdał, ale rozumny człek do rady i milczeć umie... Z żoną pewno się już nacieszył, poszlijcie po niego... bo mi go trzeba... do Czech go wyprawie.

Luboń się zmieszał, spuścił głowę, szukał w myśli sposobu, jakimby wymotał się z kłamstwa.

Mieszko stał z dumnym uśmiechem.

— Coś wam to nie po myśli? — spytał.

— Miłościwy panie, co mam dłużej klamać — rzekł stary. — Nieszczęście się stało, nie mam syna. Choćbym go miał... zgubiony on dla mnie... Obcy go ochrzcieli... na swoją wiarę... znać go nie chcę!

— Wyrzekacie go się? — spytał Mieszko.

— Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha niż ojca... przeklęty!

Kniaź popatrzył nań z uwagą.

— Luboniu — rzekł — z dzieckiem macie prawo czynić, co chcecie, ale u nas teraz chrześciany umnożają się co dzień... trzeba nam to cierpieć... nie damy rady... Boga mają snąć silnego, bo nasi bogowie mu się obronić nie mogą!

Wymówiwszy te słowa kniaź głową skinął i wyszedł.

Luboń, który dłużej tu pozostać nie myślał, wymknął się ze dworu, siadł na koń i pojechał do domu.

Tymczasem Włast powracał zwolna do zdrowia przy troskliwem pielęgnowaniu Jarczychy i Jarmirza. Dobre jadło, napoje, powietrze, spoczynek, może dzielniej jeszcze pomagały od leków. Już wstawać poczynął, gdy pewnego dnia Jarczycha przyszła z nowiną, że stary Luboń śmiertelnie się rozchorował. Ktoś z sąsiadów dał znać na dwór o tem, z dodatkiem, że teraz w Krasnej Górze parobcy kradną całe mienie, podczas kiedy Luboń leży śmiertelną dotknięty chorobą.

Włast przeraził się strasznie nowiną. Czuł się niemal winnym nieszczęścia, które ojca spotkało, więc rwał się na gwałt powracać do Krasnej Góry. Nie szło mu o mienie, ale o obowiązki dziecięcia. Napróżno Dobrosław i Jarmirz wstrzymywali go; wreszcie dali mu konie. Jarmirz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem zawstydzony męstwem Własta, powiedział, że go nie opuści i tak pojechali razem.

Skoro dojeżdżali do dworu, widać było, jaki

tam panował nieład. W podwórzu poroztwierane były wrota, wszędzie ślady spustoszenia i łupieży. We drzwiach gromada starych bab, które Lubonia leczyć przychodziły.

Jarmirz został w podwórzu, aby natychmiast ładu jakiś zaprowadzić pomiędzy pijanymi parobkami. Włast wszedł do izby...

Na niskiem posłaniu leżał stary z osłupiałemi oczyma, dysząc z trudnością. Gdy Włast wszedł, zdawał się nic już nie widzieć i nie poznawać go... leżał nieruchomy. Syn przyklęknął przy nim, z lekka ujął rękę jego i pocałował... Luboń drgnął, oczy i usta się otworzyły i wyrzekł po cichu:

— Włast! upiór!

— Syn twój! Ojcie!

Luboń nic nie odpowiedział, oczy się przymknęły i usypiał.

Całą noc przesiedział tak Włast przy łożu ojca, który tylko czasem wody zażądał i nic nie mówił więcej...

Nadedniem sił mu trochę przybyło, dojrzał siedzącego u nóg syna i mruknął:

— Włast!

— Jestem Ojcie mój.

Starzec usłyszawszy tę odpowiedź, począł się w niego wpatrywać.

— Gdzie byłeś? zapytał Luboń.

— Leżałem ciężko chory w grodzie.

— I wróciłeś?

Włast ukląkł.

— Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo — rzekl. — Ojciec mój, jam winien posłusznym być Bogu.

— Bogu! Bogu! — zawołał Luboń, jakby myśli zbierał... po chwili rzekl cicho:

— Mocny Bóg! wielki Bóg!

— Ojciec mój, i dobry to jest Bóg i miłosierny...

Stary się zadumał. Widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreszcie... łzy mu się nagle z oczu potoczyły.

Długo znowu trwało milczenie; potem Włast po cichu mówiąc, starał się pokrzepiać go i natchnąć nadzieją. Jako chrześcjanin myślał gorąco o nawróceniu chorego ojca. Słowa jego miłością natchnione cudownie działały. Luboń o tym dawniej nienawistnym Bogu chrześcjan słuchał cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn cierpliwy i miłosierny... Tymczasem życie uchodziło ze złamanego starca, oddech stawał się cięższym, usta zaniemiały; oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele. W tych ostatnich godzinach Włast o Bogu swym mówić mu nie przestawał, a gdy wreszcie zapytał go, czy chciałby wiarę jego przyjąć — ojciec odpowiedział mu skinieniem głowy.

— W imię Ojca, Syna i Ducha świętego — mówił Włast, dziękując gorąco Bogu, że pierwszym owocem apostołstwa był własny rodzic jego.

Odmówił potem modlitwę, której konający słuchał z wyteżoną uwagą, i z ostatnim Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła...

Włast zdjął z piersi swych krzyżyk i położył go umarłemu w ręce, które stężały, objawszy ten znak zbawienia... Klęknął potem i modlić się zaczął.

Włast poświęcił część lasku za domem, jako cmentarz dla przyszłych chrześcian i tam w cichoci, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie, z obawą i nie bez przeczucia następstw, jakie wywołać mogło to postępowanie.

I w istocie wszyscy, którzy liczyli na stypę pogrzebową, tak czeladź dworska jak i sąsiedzi, szemrali na Własta, że ojca starego tak po cichu pogrzebał, i odgrażać mu się zaczęli.

Część téj niechęci spadła też na Jarmirza, który Włastowi był posłusznym, wielkie okazując mu uszanowanie.

## X.

Niepokój szerzył się po kraju. Po lasach i osadach powtarzano sobie po cichu, że Mieszko starą wiarę chce zgubić, lubo kniaź nic jeszcze jawnie przeciwko niej nie czynił.

Na dworze zjawiali się wprawdzie ludzie jacyś nieznani, którzy się z kniazem zamykali, naradzali, a potem znikali... Mieszko zaczynał zwolna pozbawiać się swych ulubienic, a Sydbor z jego polecenia ludzi ściagał i zbroidł. Gród tymczasem na nowo a wspaniale urządzano, rzemieślnicy w nim pracowali. Co to znaczyć miało, domyślali się wszy-

scy; mówiono półgłosem o prędkim przybyciu czeskiej kniahini.

Zwolna chrześcianie, ukryci w kraju, zaczęli śmieliej podnosić głowy.

Wiedzieli wszyscy, że Wlast na Krasnej Górze, w komnacie téj, w której ojciec umarł, urządził oltarz i rodzaj kapliczki. Była ona zamknięta i dopuszczano do niej tylko tych, co już chrzest byli przyjęli. W pewne dni zjeżdżali się różni ludzie z daleka, odprawiało się tu coś tajemniczego, lecz choć Jarmirz stał na straży i zbliżać się czeladzi nie pozwalał, podsłuchiowano śpiewy z dala...

Ukryci w krzakach starzy dziadowie wróżbici śledzili twarze i nazwiska tych, co tu przybywali, na przyszlą zemstę ich znacząc.

Nie porywali się jeszcze na nich jawnie, lecz wszyscy ci nowi chrześcianie skazani byli na śmierć, a dwory ich na spalenie.

Dobrosławowi zgorzały już jego stodoły i szopy; widocznie ogień zbrodniczą ręką był podłożony. Jarmirz nocy nie dospał, tak lękał się o Krasną Górę.

Tak z jednej strony Mieszko wydawał potajemnie wojnę staréj wierze, a ona z pokorą pozorną broniła się, nie podnosząc głowy.

W grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud zbrojny zbierano, a po uroczyskach, w puszczech, horodyszczach, schodzili się po nocach na narady wróżbici, gęślarze... Nikt jawnie nikomu nie wypowiadał jeszcze wojny, lecz wszyscy czuli

ją i sposobili się do niej. Jednego dnia komornik wezwał Własta do kniazia. Oddawszy dwór swój na opiekę Jarmirzowi, pojechał posłuszny.

Na wstępie powitał go Dobrosław i poprowadził do swój komnaty z twarzą wesolą.

— Mój Ojcie — rzekł — cieszcie się, nadchodzi i dla nas godzina wyzwolenia... Mieszko walczy jeszcze ze starem w sobie pogaństwem, ale wreszcie ulega... Dąbrówka przybywa... Książ nie chce jeszcze jawnie wystąpić przeciw starym błędom, lecz daje nam swobodę nawracania... Was jednego mało, więcój nam duchownych potrzeba. Zkąd ich weźmiemy? Obcych naród nie cierpi, z ich rąk nie przyjąłby nawet zbawienia. Czesi w domu mają do czynienia... Trzeba nam męża, coby powagą, wiekiem, świętobliwością kniaziowi i nam przodował.

Dobrosław złożył ręce, jakby w zwątpieniu. Włast, a raczej Ojciec Mateusz, milczał pokornie.

— Byliście długo między obcymi, którzy ze Słowianami graniczą. Są tam kapłani naszego języka świadomi. Książ, który was wezwał, nie wam nie powie, tylko byście nad granicę na zwiady jechali, wywiedzieli się, a ja mówię wam, przyprowadźcie z sobą kapłana, któryby przyszłej owczarni mógł być pasterzem.

— Ciężkie brzemię wkładacie na moje ramiona — odezwał się ojciec Mateusz — pocieszam się tem tylko, że nie ja, niegodny sługa Boży, ale Duch św. wybierać będzie tego, którego zechce postawić na świeczniku.



Rozmawiali jeszcze z sobą, gdy Dobrosława wezwano do kniazia, a ten z sobą poprowadził Własta. Mieszko śnać go się spodziewał, bo mu się łaskawie nśmiechnął.

— Potrzebny nam jesteś — rzekł — od granicy coś się rusza. Gero, czy jego zastępca, gotuje się na nas. Trzeba wypatrzyć, co oni tam sposobią, abyśmy byli w gotowości. Jedźcie, patrzcie i wracajcie. Język ich i obyczaj zuacie.

Włast mu się skłonił do kolan.

— Miłościwy panie — rzekł, spełnię wasz rozkaz, ile mi sił stanie.

— A do podróży ludzi i co potrzeba Dobrosław wam ze skarbcą mojego dostarczy — dodał Mieszko.

Nie dano Włastowi czasu tyle, aby do domu powrócił i zaraz mu wszystko do podróży sposobić zaczęto. Dano mu czterech ludzi, na których czele stał Rudy Lulin, najprzebieglejszy z wszystkich sług dworskich, który będąc już nieraz w niewoli u Niemców, nauczył się ich języka, lecz zawsze im się wymknąć potrafił. Znał wszystkie ścieżki, przejścia i przesmyki nad Łabą, mógł więc najlepiej służyć za przewodnika w téj uciążliwej podróży. Tak więc młody kapłan zupełnie niespodzianie znalazł się w przeddzień niebezpiecznej podróży, o której przed kilku godzinami jeszcze nie zamarzył. Lecz, że sprawa wiary z nią się łączyła, nie zawahał się ani na chwilę. Nazajutrz do dnia ruszył w podróż.

Podczas niewoli swój Włast przebywał dosyć dłu-

go u niemieckiego wojaka, który tu przywędrowawszy z Frankonii, osiadł na zamku nad Łabą, i trudnił się łupieństwem na Słowianach.

Była to prawa ręka Gerona, owego znanego dobrze Serbom i Polanom markgrafa, a zwano go Gosbertem.

Takich, jak Gero i Gosbert ludzi, potrzebowali cesarze niemieccy do zajadłej walki z poganami, którą wiedli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za dobry służyło pozór.

Zamek Gosberta sterczał na saméj granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść ludzi wypadła za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców. On i jego pachółkowie dokazywali straszliwie, znęcali się okropnie, rozpustowali ohydnie. Pomimo takie życie Gosbert i jego dwaj synowie, Dodo i Berto, uchodzili za pobożnych. W owych czasach im kto więcej grzeszył, tem do większej gorliwości w służbie bożej czuł się obowiązany. Gosbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkiem, a święta, posty i uroczystości kościelne obchodził z wielką surowością, wraz z całym swym dworem. Wierząc w poszanowanie dla duchownych Gosberta, Włast jechał prosto do niego. Ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wreszcie i to, że konie i ludzie, których miał z sobą, niepozorni byli i chciwości obudzać nie mogli.

Podróż do zamku, który się nazywał Adlerberg, nużącą była i długą, bo trzeba było wymijać osady, wlec się wiele nocą i rankami. Jesień też zaczynała być słotną, strumienie wzbierały,

drogi były błotniste. Byli jeszcze o kilka staj od wzgórza, na którym wznosił się zamek Gosberta, gdy ujrzeli jadących trzech konnych z psami. Byli to Dodo i Berto, synowie pańscy, których ciekawość wzięła zobaczyć orszak przybywających nieznanym tu ludzi. Dodo pamiętał Własta jeszcze z czasów, gdy się nad nim jako nad niewolnikiem znęcał; poznał go więc zaraz i z wielkim powitał okrzykiem. Przypomnił sobie, że Włast jest teraz duchownym, więc z niejakim uszanowaniem zbliżył się do niego.

— Jakże się tu zabłąkałeś Ojciec Mateuszu?

— zapytał — czy cię wygnali twoi poganie?

— Jeszcze nie, Miłościwy grafie — odparł Włast — przybyłem z dobrej woli pokłonić się Waszemu panu ojcu, grafowi Gosbertowi.

— Jedźcie ze mną, rad wam będzie. Właśnie u nas jutro w kościele wielkie nabożeństwo, duchownych kilku sprowadzono na nie, zdacie się i wy ze mszą świętą — rzekł Dodo — ojciec teraz z panami duchownymi obiaduje wesoło...

Po krótkiej przeprawie przez kilka podwórz i most zwodzony Włast z orszakiem i synami grafa stanął na zamku.

W sali obszerniej, zdobniej w rzeźby i malowania, za stołem bogato zastawionym, siedział stary graf, otoczony gośćmi. Z prawej strony siedział w czarnej szacie duchowny, z włosiem siwym i twarzą poważną i surową, za nim drugi młodszy, w którego oczach rozum i życie polyskiwało, jeszcze walką nie wyczerpane. Oba mieli na łańcu-

chach zlociste krzyże na piersiach. Opodał nieco siedział młodzieniec, w sukni także kapłańskiej, z oczyma spuszczone, skromnie i pokornie.

Po lewój ręce Gosberta rozparty butnie siedział rycerz, w skórzanym kaftanie, z ogromnemi czarnemi wąsami, spoglądając z lekceważeniem po towarzyszach; w cieniu pod ścianą siedziała podobna mu postać wojaka, ale skromniejsza.

Gdy Włast przystąpił z pokornym ukłonem do grafa, stary zwrócił ku niemu twarz winem i piwem zaczerwienioną, i wskazując mu miejsce obok duchownych na ławie, zawołał:

— Będiesz tu Ojciec Mateuszu pomiędzy swoimi, siadaj, a jeśliś głodny, każ sobie co podać, a tymczasem napij się!

To mówiąc, nalał kubek wina ze dzbana i podał go Włastowi, który usiadł na najniższem miejscu, za młodym duchownym.

Oczy dwóch rycerzy, siedzących za stołem, ciekawie się nań zwróciły..

Rozmowa między gośćmi grafa Gosberta toczyła się dalej, nie przerywana przybyciem Własta.

— Mnie się widzi — mówił ów butny rycerz, który się nazywał Wigman i był powinowatym cesarza — że gdyby ze Słowianami i Polanami nastał pokój, gdyby się oni pochrzcili, uczyniliby nam krzywdę niemałą...

— Dałby to Bóg — przerwał starszy duchowny — aby wiarę świętą przyjęli..

— Ale cóżby naonczas robił Gero na wschodniej granicy, cóżby poczynił, czy Gosbert, nie ma-

jąc nic do roboty, a naostatek może i takiemu jak ja Wigmanowi ci Słowianie nacoby się przydali...

Gosbert popił z kubka, węża pokręcił zadumany.

— Co się tyczy Słowian — rzekł — nie miejcie kłopotu; do przyjęcia wiary u nich daleko... W Czechach, gdzie na gwałt kościoły budują, po lasach tak ofiary bożkom sprawiają jak dawniej, lud stoi przy swych drewnianych bożyszczech i nie łatwo je porzuci.

Włast, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, żeby nie rzec cicho:

— Da Bóg, że się to odmieni.

Spojrzeli nań duchowni i Gosbert, a Wigman zmierzył go pogardliwie oczyma.

— A jakże się to ma zmienić? — zapytał Gosbert.

— Nie jest to już tajemnicą, że kniaź Mieszko żeni się z córką Bolesława Czeskiego Dąbrówką, która chrześcianką jest — rzekł skromnie Włast — z nią przy pomocy Bożej wiara Chrystusowa zawita do nas i rozkrzewi się...

Gdy Włast wyrzekł te słowa, wszyscy z większą uwagą poczęli spoglądać. Wigman także oczy wlepił w niego.

— Kapłanów nam tylko mężnych i gorliwych potrzeba — dodał Włast — szczególnie takich, coby rozumieli język ludu i przemawiać doń mogli.

— Sto lat upłynie, stu kapłanów zginie — zawołał Wigman — a wy z waszą dziczą ślepa nie przejrzyście. Słowianin jak szczenię ślepo się

rodzi, ale pies prędko przeziera, a on na zawsze ślepym zostaje.

Na te obelżywe dla narodu swego wyrazy Włast zarumienił się z oburzenia, lecz tłumiąc gniew w głębi duszy, rzekł spokojnie:

— Duchownym jestem, nie przystoi mi nie innego, tylko obelgę znieść i darować. Ale jako od duchownego przyjmijcie Miłościwy panie życzenia, aby was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oręża przed owymi ślepcami składać was nie zmusił.

Na tę odpowiedź dumny Wigman zwrócił się z oczyma iskrzącemi i zaciśniętymi pięściami do Własta.

— Milez ty klecho jakiś — krzyknął — a dziękuj swój sukni i godności téj, żeś beczelną swą śmiałości życiem nie przypłacił...

Mowa ta gwałtowna i nieprzystojna nikomu się nie podobala. Zamilkli wszyscy, duchowni zaś spojrzeli na Własta, jakby byli ciekawi, co teraz uczyni. Gdy jednak milczał, starszy duchowny wstał, prosząc, aby ich do zamkowej kaplicy odprowadzono, ponieważ czas nabożeństwa niespornego się zbliżał. Syn grafa Dodo, wzięwszy wiszące na ścianie klucze, poszedł naprzód, wiodąc duchownych za sobą.

Włast poszedł też z nimi. Zeszli z pierwszego piętra i udali się do małej kapliczki, na dole się znajdującej, z wielką prostotą urządzonej. Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory, a inni mu wszyscy odpowiadali. W nabożeństwie wszelako

nikt nie uczestniczył z ludzi zamkowych, nawet Dodo powrócił do ojca, który z Wigmanem i jego towarzyszem ciągle jeszcze zapijał wino przy stole.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy czterej kapłani, z kaplicy wyszedłszy, a unikając towarzystwa dumnego Wigmana, zasiedli na kamienną ławie, na przyzbie zamkowej.

Włast wielką w nich zbudzał ciekawość i radzi byli dowiedzieć się coś o losach jego i przygodach.

On też nie tuił się z niezem przed nimi i opowiedział im w krótkości całą historję życia swego. Na ostatek, gdy o podróży tej i jej celu mówić zaczął, rozgrzany nadzieją uczynienia czegoś dla kraju, powstał Włast z ławy i złożywszy ręce jał mówić do starszych kapłanów.

— Ojcowie a panowie moi, do was zwracam teraz serdeczną mowę, ażaliż nie lepiej i nie zgodniej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić, niż burzyć go i niszczyć... Pragniemy wiary i wołamy apostołów. Z niebezpieczeństwem życia dostałem się tu, ufając, że dla nowój oweczarni, dziś szczupłej jeszcze, znajdę tu pasterza... Dajcie mi go!

Wysłuchawszy mowy starszy duchowny odpowiedział, że on sam ma już takie apostołstwo między świeżo nawróconymi w Mysznach; choćby pragnął oddalić się, nie może. Zarazem zwrócił się ku towarzyszowi średnich lat i pogodnej twarzy.

— Ojcie Jordanie — rzekł — językaście Słowian i obyczaju a zabobonów ich świadomi, ażaliż wam, zamiast spokojnej plebanii, wojownicze

pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Zamilkł. Ksiądz Jordan zadumał się.

— Więc miałbym swoje owieczki opuścić a szukać obcych i nieznanych? — zapytał z uśmiechem po chwili.

— Mój Ojcie — odparł Włast — owieczki te wasze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz dla nich rychlej się znajdzie, niż dla tych naszych zdziczałych, które wilcy chwytają na pustyni... Wprawdzie kniaź nasz Mieszko ani sam jeszcze chrztu nie przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwy to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin jeszcze się czasem odzywa... w Bogu nadzieję mamy, że go z czasem zwycięży. Przez niewiastę przyszedł grzech na świat — dodał Włast — ale też przez niewiastę przyszło na świat odkupienie i przez niewiasty wszędzie, jako owe co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody... I nam ją przyniesie Dąbrówka, pani wielkiego męstwa, która się nie lęka nieochrzconemu rękę oddać kniaziowi, aby go do chrztu przywiodła.

X. Jordan, wysłuchawszy mówiącego Własta, ujął go rękoma, pocałunek dał mu braterski i zawołał:

— A iluż tam jest takich jak wy, Ojcie Mateuszu?

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i rzekł:



— Ojcie mój, takich jak ja, a lepszych może znajdziecie wielu. Nabierzcie tylko ochoty... i jedźcie ze mną!...

To mówiąc ukląkł i za nogi go uściskał, a potem powstał i w długiej natchnionej mowie przedstawiał zacnemu kapłanowi jak zbawiennem będzie jego apostołstwo.

Mrok wieczorny zapadał, gdy duchownych zawezwano na wieczerzę do grafa. Zastali tu stół rybami zastawiony, ponalewane dzbany, a Wigma na przed palącym się na kominie ogniem wyciągniętego na ławie. Wszyscy jak w południe pozajmowali swe miejsca, a najstarszy kapłan odmówił Benedictus.

Rozmowa nie była tak poważną jak przy obiedzie. Gosbert, choć miał u stołu kapłanów, nie wahał się dopuszczać żartów nieprzystojnych. Wigman jednak nie dał się niemi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zamknął się sam w sobie, jak gdyby knuł coś potajemnie... I tak do końca wieczerzy, na gospodarza już ani nie patrząc, ani doń słowa mówiąc, pozostał. W milczeniu porzucili pijących duchowni i przed północą dla jutrzejszych mszy udali się na spoczynek.

## XI.

W kilka dni później Włast ze swój wycieczki powracał, uspokojony tem, że nie jechał sam...

Obok niego po prawej ręce, w milczeniu, od-

inawiając kapłańskie pacierze, ksiądz Jordan rozpatrywał się po kraju, w którego granice już byli wkroczyli.

Był to ten sam kapłan, którego Opatrzność nastreczyła Włastowi na Adlerbergu u grafa Gosberta.

— X. Jordan był kapłanem już z apostołstwem obeznanym od młodości, w téj pracy zahartowanym. Wiedział już jak mówić trzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, do tych co słyszane źle rozumieli. Mąż to był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha nieznudzonej, przytem pelen wesela wewnętrznego i spokoju.

Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi do dawniej wiary przywiązanemu, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, podobalo mu się jednak być pasterzem owczarni nowej, przez siebie utworzonej.

X. Jordan musiał zrzucić swą suknię duchowną, wstąpiwszy w granice pogańskiego kraju Polanów, i wdziać odzież tu używaną, a że języka był świadomy, mógł uchodzić za zamożnego ziemianina.

W ciągu drogi, im dłużej obcował z Włastem, im bliżej go poznawał, tem więcej się w nim rozmiłował i przekonywał się, że nie traf ślepy ale Opatrzność sama wybrała go na trudny obowiązek pierwszego apostoła — i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, postanowił Włast zawieść X. Jordana najpierw do Krasnej Góry, aby tam kilka dni wypoczął a potem dopiero

mieli udać się do kniaziowego grodu nad Cybinę X. Jordan przystał na to z ochotą.

Droga wiodła lasami już z liści jesienią ogołoconemi. Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z boku osłaniał, gdy nagle ujrzeli, że cały dwór w Krasnej Górze był zgliszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe niedopalone belki... Z budowli nie nie pozostało...

Włast całej siły ducha nżyć musiał, aby się zdobyć na te słowa:

— Bądź woła Twoja!

Pogorzelisko straszny widok przedstawiało... kilku ludzi bląkało się około niego, Jarmirza ujrzał Włast leżącego na ziemi w opalonej odzieży... Pożar nie był widocznie dawny, bo gdzieś tam dymiły węgle jeszcze. Za dworem stały wypędzone ze spalonych szop trzody...

Włast skoczył z konia, a Jarmirz podniósł się z wolna z ziemi, podchodząc ku niemu z załamaniem rękoma. Zbliżył się też X. Jordan.

— Mój Jarmirzu — zawołał Włast — jakże się to stało? Co było przyczyną tego pożaru?

Jarmirz obejrzał się ostrożnie.

— Nie wiem, nic nie wiem — rzekł trwożliwie — w nocy ogień powstał na czterech rogach zagrody — nie było ratunku. Ocaliliśmy co się dało.

I Jarmirz wskazał na leżące na kupie sprzęty, pomiędzy którymi znajdował się także najdroższy Włastowi kielich ofiarny.

W lasku naprędce sklecono szałas i tam znu-

żeni podróżni spoczęli, bo noc nadchodząca przybycie do grodu nad Cybiną utrudniała.

Smutny był nocleg ten pod szałasem, na modlitwie w części i na cichéj rozmowie z Jarmirzem spędzonéj. Od niego dowiedział się Włast, że gdy łuna pożaru na całą okolicę się rozpostarła, nawet w grodzie nad Cybiną ją spostrzegli. Przybyli kormornicy, wysłani od Mieszka na zwiady, pomagali ratować. Książ więc zawiadomiony był o stracie, jaka Własta spotkała. Nazajutrz rano dwaj druhowie ruszyli ku Poznaniowi i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowozaciągnionych do wojska opatrywali i liczyli.

Wszystko się tu zdawało przysposabiać jakby do wojny. Ruch był na zamku wielki. Broń dobywano ze skarbców, obliczano jéj zapasy w Gnieźnie i nad Cybiną i po innych grodach Mieszkowych.

Zdała bystre oko kniazia poznało przybywającego Własta z małym orszakiem i nieznanego pomiędzy nim spostrzegło. Ledwie z konia zsiadli, gdy Mieszko poszedł ku nim z twarzą wesolą. Nie spojrzał wcale na księdza Jordana, jakby go nie widział, i zdała ozwał się do Własta.

— Dobrze się stało, że starego dworu pozbyłście się — pewno już wiecie o tem.

— Wiem Miłościwy panie.

— Nie fraszujcież się. stanie nowy... idźcie do Dobrosława.

Skinął ręką i do Sydbora powrócił. — X. Jōrdan, pilnie mu się przypatrujący, nie rzekł ani słowa, i poszedł za swym przewodnikiem.

Gdy weszli do izby Dobrosława, ten drzwi za niemi zamknawszy, rękę X. Jordana ucałował i na pierwszym miejscu go posadził, a potem zwrócił się do Własta z ubolewaniem.

— Kniaziowi ludzie — mówił — wysłani ztąd do pożaru, w powrocie z Krasnej Góry, pochwycili w lesie dwóch dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przywleczono ich tu na gród i osadzono w ciemnicy... a kniaź, choć się waha i wzdryga, pono dla przykładu każe ich powiesić... Lecz że lud ich szanuje, a on narodu drażnić nie chce, nie wie sam jeszcze jak postąpi.

Włast usłyszawszy to, pobiegł natychmiast do Mieszka. i spotkawszy go powracającego w podwórzu, do nóg mu upadł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

— Oni ci przecież szkodę wyrządzili — rzekł Mieszko zdziwiony — i zemsta ci się należy.

— Miłościwy panie — odparł Włast — chrześciance zemsty nie znają... Nasza nauka nakazuje przebaczać nieprzyjaciółom, kochać tych, co nas prześladują... błagam was...

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodowi w chwili téj uwolni, więc na prośby Własta ręką skinął i rzekł:

— Czyńże z niemi, co sam chcesz.

Nie tracąc chwili Włast poszedł do ciemnicy. Gdy mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, ujrzał dwóch dziadów, leżących na ziemi, którzy go wzrokiem dzikim powitali. Jednego z nich poznał od razu; był to wróżbita

Warga, który często do starego Lubonia do Krasnej Góry przychodził.

Włast zbliżył się do nich i zapytał:

— Pocóżecie pod domostwo moje ogień podłożyli?

Starcy milczeli długo, a potem mruknął Warga:

— Co się pytasz? rób swoje!

— Nic wam złego nie uczyniłem — odezwał się Włast — ślepi jesteście, a nie wiecie co robicie... Uczyniliście mi krzywdę — dodał — płacę wam za nią dobrem. Wyprosiłem u kniazia, że mam prawo puścić was na wolność... Idźcie i uchodźcie... Pomnijcie, że ta wiara, co uczy płacić dobrem za złe, jest lepszą...

— Wasza wiara głupią jest — mruknął Warga, podnosząc się z ziemi i dając znak towarzyszowi, aby także wstawał — bo mnie puszczasz wolnym, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, zachowam...

Gdy już był wyszedł z lochu, zwrócił się do Własta i rzekł głośno:

— Nie śmiecie Wardze nic uczynić, nie śmiecie! Wiecie, żem silny, i że za mnie mścić się będą... dla tego puszczacie nas wolno .. Nie bójcie się, drugi raz wam w ręce nie popadnę... a dostaniecie się wy w nasze...

Włast zawrzał gniewem, lecz jako chrześcianin wierny zwalczył gniew i dał odejść obu dziadom.

Nauka, jaką im Włast dać chciał, poszła na marne, ale za to w sumieniu swoim pozostał spokojny.

Tymczasem na dworze robiono wielkie przygotowania. Z Czech zapowiadano przybycie kniahini Dąbrówki, lecz trzymano to jeszcze w tajemnicy. Mieszko nie kazał dotąd wezwać do siebie X. Jordana, lecz pozwolił mu urządzić w zamku z pomocą Dobrosława kaplicę i przyozdobić ją jak najpiękniej.

Dworzec, w którym wygnane teraz ulubienice dawniej mieszkaly, został także odnowiony i wspaniale urządzony. Był bowiem przeznaczony dla nowej kniahini. Dagmara pozostała na jej usługi.

Jednego poranku Wlastowi kazano jechać do Pragi, dodając mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli w wycieczce nad Łabę. a gdy o cel podróży spytał, Mieszko rzekł mu:

— Pokłońcie się ode mnie!

Rad, że się do kraju chrześcijańskiego dostanie, Włast pożegnał X. Jordana i pojechał.

W kilka dni potem Mieszko w płaszczu brązowym złotem, Sydbor w świetnej zbroi, ze starszyzną dworską wspaniale przybraną, wyjechali z grodu nad Cybiną. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości. Dobrosław pozostał w grodzie, mając dozór nad przygotowaniami.

Orszak, który z kniazem na czele wyruszył, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jechano dniem i nocą, a nazajutrz, gdy słońce ku południowi wybiło się ponad mgły jesienne i jasnym zaświeciło blaskiem, dźwięk rogów dał się słyszeć z dala i straż nadbiegła, oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim.

Mieszko stanął z koniem na przedzie, a cały dwór jego ustawił się w przynależnym porządku.

Zdale już widać było okazały orszak, który kniahini towarzyszył. Wedle obyczaju brat jechał obok niej, za nimi mnoga liczba panów dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i niezliczona moc wozów, które szły jedne za drugimi, strzeżone przez ludzi zbrojnych. Oddział pancernych zamykał w końcu wspaniały ten poczet.

Kniahini jechała na pięknym koniu obok brata, w suknię złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym. Na widok Mieszka twarz jej rumieńcem pokraśniała i oczy śmiało na niego spojrzały. Nie było to trwożliwe dziewczę, ale niewiasta czująca się królową. Bolko, brat jej, o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, poczem oba zsiadli z koni i poszli do Dąbrówki, która też z wierzchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko pogańskim obyczajem, objąwszy ją ramionami, zarumienioną w twarz pocałował. Potem podano sobie ręce i węsołość wyrażała się na wszystkich twarzach.

— Jesteście Miłościwa pani — zawołał Mieszko — już na mojej a raczej na swój ziemi, gdzie jestem gospodarzem. Przysłało tę dobrą godzinę uczyć poczęstunkiem.

To mówiąc, zaprowadził Dąbrówkę i jej brata ponad drogę, gdzie na rozpostartem suknie stały naczynia z jadłem i napojem. Dla obu też orszaków beczki były w pogotowiu. Dwa dwory, czeski



i polski, po raz pierwszy zbliżyły się ku sobie przyjacielską podając dłón.

Z kniahinią mnogi dwór jechał: niewiasty, sługi, dworscy, duchowni, panowie... Między duchownymi Włast też był wmieszany.

Nie biesiadowano tu długo i zaraz w dalszą puszczo no się drogę. Już o kilka mil od Poznania drogi były nabite ludem, ciekawym ujrzeć tę nową panią, z którą przybywała wiara nowa, co trwoga i niepokojem wszystkich przejmowała. Lecz zarazem stały na drogach poczty wojenne, siłę Mieszkową okazując Czechom.

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów, wjeżdżała na nową swą stolicę Dąbrówka tak niewzruszonym umysłem i ciekawemi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Wełtawą, nieznanomego jój jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swego dworca, z oczyma załzawionemi, przypatrywała się Górka téj nowój pani... naprzeciw której wyjść nie śmiała. U drzwi dworu Mieszko, zsiadłszy z konia, podał rękę Dąbrówce i zaprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu stali panowie, pokłonami witając panią, z góry spoglądającą na nowych poddanych.

Przyjawszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, kniahini zwróciła się do Mieszka.

— Miłościwy panie — rzekła — nie czuję się tu ani żoną, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie pobłogosławi...

Mieszko się zachmurzył. Nie rzekł nic, obej-

rzał się po przytomnych, a potem rzekł do Dąbrówki i jej brata, aby szli z nim obejrzeć konnaty dla żony przygotowane. Szli zwolna.

Czescy i polscy panowie zostali w izbie biesiadnej, czekając powrotu pana. Przez izby i przedsienia Mieszko z pierwszego dworu skierował się ku mieszkaniu królowej. Przeszli szereg izb, lecz ostatnie drzwi stały przed niemi zamknięte... W chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą, otworzyły się i za niemi ukazała się światłami płonąca kaplica. U ołtarza bogato przystrojonego stał ksiądz Jordan, — obok niego z jednej strony Ojciec Mateusz, a z drugiej O. Prokop, spowiednik ojca Dąbrówki... Mieszko siedl widocznie chmurny i prawie gniewny. lecz milezący i posłuszny... Dąbrówka uśmiechała się uszczęśliwiona.

Za nimi wnet zatrzęsły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków X. Jordan pokropił najpierw wodą chrztu mileżącego kniazia, a potem szybko obrzędu ślubu dopełnił. Drżącym głosem pobłogosławił małżonków i związał ich dłonie.

Dąbrówka dopomagała mężowi, aby wykonał to, co dla ważności obrządku koniecznem było. Na twarzy Mieszka wyrażał się niepokój ciągły, który trwał, dopóki nie wyszli z kaplicy i nie wrócili do izby, gdzie na nich zgromadzeni czekali. Dąbrówka z twarzą wesolą zasiadła teraz do uczy obok męża i brata. Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniahini, którą poznać tak byli ciekawi. Jej wesołe i odważne usposobienie miało dla nich wiele uroku i było zupełnie czemś

nowem dla nich przywykłych do niewiast trwożliwych i milezących.

Pod koniec uczty przeciągając się długo, goście wedle zwyczaju zaczęli nowozaślubionym składać podarki... i u nóg młodej pani zebrał się stos cały kosztownych rzeczy, które o zamożności starych rodow świadczyły. Smialo i wymownie, jakby dawna znajoma, dziękowała młoda pani. Dziwili się wszyscy, że tak od razu przystała do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych... Mieszko też spoglądał z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było... Trzy dni trwały takie uczty, a po nich płasy i zabawy. Dąbrówka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą, i nie wahała się rzucić słowa o nowej wierze.

Dziwnie się to apostołowanie mogło wydawać wśród zabawy, lecz młoda pani przejęta była swem posłannictwem i w środkach spełnienia go nie przebierała; panowie też czescy naśladowali ją w tem porywczem apostołowaniu. Pod koniec dnia trzeciego pochmurniały twarze, między Czechami a Polanami zaczynało się pojawiać oziębienie. Mieszko zdala patrzył, milczał, lecz był chmurniejszym.

Czwartego dnia kuiaż sam na sam naradzał się z Sydborem i Dobrosławem, gdy Dąbrówka weszła z wesołą swą twarzą i pańską postawą. Na jej widok oblicze Mieszka wypogodziło się i oczywiście wskazał towarzyszom, aby ich samych zostawili.

— Mieszku — odezwała się Dąbrówka, gdy

wyszli — weseliliśmy się trzy dni całe, czas teraz przystąpić do dzieła.

Mieszko popatrzał na nią zdumiony.

— Duchowni czekają, nie ma co zwlekać, nawracanie i chrzest rozpocząć należy.

— Piękna kniahini moja — rzekł Mieszko — jeśli niewiasty twojego dworu nawracać zechcecie, czyńcie to, proszę, ale co do mojego narodu, zostawcie mnie starania. Jedyne to sposób byłby, aby nic nie uczynić, lub głowę nałożyć, gdybyśmy się porwali bez przygotowania...

To powiedziawszy wstał, ucałował żonę i rzekł uśmiechając się:

— To moja sprawa...

Dąbrówka milczała nieco zmięszana, a książę mówił dalej:

— Twoi Czesi nie zdadzą się do nawracania, bo nas nie znają. Miłościwa pani, damy im podarki bogate, ale ich ztąd wyprawimy do domu.

Dąbrówka, która najbardziej na swój dwór przy nawracaniu liczyła, zasmuciła się bardzo, lecz Mieszkowi sprzeciwić się nie było sposobu... Z twarzy mu patrzyło, że choć śmiał się, ale żelazną miał wolę.

— Nie zlekniecież się zostać wśród nas pogan saméj? — spytał Mieszko.

Dąbrówka, choć może w istocie czuła trwogę, okazać jéj się wstydziła.

— Z wami zostanę — rzekła — przecież obawiać się nie mam czego.

Mieszko uśmiechnął się, dziękując.

— Jestem jeszcze sam poganinem — rzekł — nawróćcie wprzódy mnie i nauczcie. Słucham was często i nie rozumiem. Co u nas cnotą było, u was jest występkiem, co u was zowie się pięknem, nam się złem wydaje. Zemsta wzbroniona, a któż się mnie lękać będzie?

Dąbrówka słuchając go, przekonywała się zwolna, że to nawrócenie, które jęj się tak łatwem zdawało, było dziełem bardzo długiem i trudnem.

Spuściła głowę i milczała... Mieszko ujął jęj rękę i rzekł:

— Chodźmy teraz pożegnać i odprawić Czechów, jest to koniecznem dla tego, aby naród mój nie mówił, że m ich dla wprowadzenia nowęj wiary potrzebował.

Wyszli milczący i skierowali się ku dworowi, w którym słyhać było śpiewy i grę na trąbach i gęślach.

Tęgo wieczora Włast prosił kniazia, aby mógł na godzinkę pojechać do Krasnej Góry. Książ pozwolił. Mrok już zapadał, gdy się znów znalazł na skraju lasu i stanął nie mniej jak pierwszym razem zdziwiony... W miejscu zgliszczy stał już dwór nowy, daleko obszerniejszy od pierwszego, wszystkie szopy były odbudowane i parkanem otoczone. Gdy tak stał zdumiony, ujrzał nadchodzącego Jarmirza.

— Jak to być mogło, aby dwór stanął tak prędko? — zapytał.

— Z rozkazu kniazia ludzi gromada naszła — odpowiedział Jarmirz — jam z moimi patrzył tylko z założonemi rękoma.

Wlast poszedł teraz wprost do dworu. Wszystko w nim było jak najstaranniej urządzone, a w miejscu komnaty, w której zmarł stary Luboń, gdzie była kaplica, za staraniem Dobrosława nowy ołtarz stanął ze wszelkim do służby Bożej przyborem.

Tu najpierw na kolana padłszy Wlast, zalanym łzami modlił się długo. Wstawał właśnie wzruszony, gdy w progu ujrzał postać niewieścią. Nie mógł jej poznać zrazu, gdyż osloniętą miała twarz czepcem zamężnych niewiast; dopiero zbliżywszy się do niej, poznał siostrę Rożanę...

— A zkadże ty tu? jakim sposobem? — zapytał. — Gdzie mąż twój?

Gdy Rożana tak rzewnie płakała, że słowa wymówić nie mogła, Jarmirz odpowiedział za nią, że żołnierze z rozkazu Mieszka długo się za nim uganiali po lesie i nocą go w chacie leśnej napadli, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał.

Rożana oplakując męża, nie wiedziała co począć; pieszo przywlokła się do rodzicielskiego domu... Wlast pocieszając zasmuconą, upewnił ją, że pozostać tu może i mieszkać jak u ojca. Zadziwiło go tylko, że kniaź, który się z nim prawie codzień widywał, ani o zbudowaniu dworu, ani o wymierzonej Wojsławowi sprawiedliwości nie do niego nie wspomniął.

Lecz był to pan milczący i zamknięty w sobie.

Tak w nowoodbudowanym dworze pierwszy wieczór spędził Wlast ze siostrą i Jarmirzem.

Radowało się serce jego myślą, że Opatrzność zesłała mu siostrę, aby ją tak jak ojca nawrócił. Zdawało mu się téż, że Jarmirza już przygotowanego łatwo będzie do przyjęcia nowój wiary nakłonić... Lecz postanowił cierpliwie i powołnie poświęcić się zyskaniu tych dusz... W myśli jego było połączenie siostry z Jarmirzem i oddanie im majątności ojcowskiej. Takimi marzeniami kołysany zasnął snem sprawiedliwego, a nazajutrz odprawivszy Mszę ś. w kaplicy, powrócił do grodu nad Cybinę.

## XII.

Po odprawieniu poczystnem Czechów, których Mieszko obdarzywszy sownicę do granicy odesłał, cisza znów na zamek wróciła, i na pozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszono ani chramu w Gnieźnie na górze Lecha, ani starój nad Cybiną w Poznaniu świątyni — kapłani chrześcijańscy nie odprawiali jawnie nowój wiary obrządków, żadnemi oznakami nie objawiała się ona na zewnątrz.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego X. Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał im spoufałać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami i datkami, a na proste umysły umiał działać bardzo téż prostemi środkami. To samo na inny sposób Dobrosław robił na dworze. Z wladyków i panów już kilkunastu dało się skłonić do przyjęcia chrztu św. Z każdym dniem rośło

i wznagało się chrześcijaństwo, najmniej jednak pomiędzy ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków. Nie było jednak pozoru do poruszenia ludu, bo jawnie kniaź nie uczynił przeciwko staremu obyczajowi.

To téż mieszkańcy osad oddaleńszych żadnej nie czując zmiany, pochlebiali sobie, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą wiarę swoją. Warga i jego towarzysze, co lud jatrzyć się starali, tracili wpływ swój zwolna. Na zbiorowiskach w dniu uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbiegały, teraz coraz puściiej było. Lecz nagle wypadek niespodziany na nowo stygnące to przywiązanie dla nowych bogów rozbudził.

O dwie mile od Warty i Cybiny, w głębi lasu, na uroczysku Białe zwanem, wznosiła się od dawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a balwan był z drzewa, niezgrabnie wyciosany.

Jednego dnia przybyły do lasu niewiasty zbierać grzyby i przestraszyły się ogromnie, widząc, że balwan został obalony, kamienie poroztaczane, a ręka złośliwa, co tego dokonała, położyła suchych gałęzi pod balwan i na pół go spaliła.

Ponieważ Biał powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy uważany, lament, płacz i oburzenie wstrząsnęły całą ludnością. Wrzał tak gniew srogi, gdy doszła wiadomość, z okolicy na Dąbrowach, że i tam balwan kamienny, który stał na wzgórzu od niepamiętnych czasów, ręka jakaś zuchwała obaliła i potrzaskała. Ludzie w gniewie



odbiegli Biała i pobiegli płakać i lamentować na Dąbrowę. Tu znaleziono ślady kilku koni i dowody, że ludzi musiało być wielu, bo też jeden człowiek nie zdołałby obalić takiego bałwana. Naturalnie nikt nie wątpił, że to chrześcian była sprawka. Warga wołał o zemstę, wskazywał dwory podejrzane, ale ludzie się oparli iść gromadą do kniazia na skargę, że im się tak straszna wyrządziła krzywda.

Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na przedzie, i wszyscy pociągnęli ku Cybinie.

Na grodzie nikt się nie ruszył. Mieszko był już o wszystkim od swoich wiernych uwiadomiony. Gromada w milczeniu przyciągnęła przed dworzec pański, przybywszy tu stanęła w porządku uroczystym. Mieszko wysłał stolnika swego z zapytaniem, czegoby chcieli.

Temu opowiedzieli starsi, jak się rzecz miała. Po chwili książę ukazał się we drzwiach z obliczem wesołym.

Gdy mu obszernie opowiedziano wszystko, książę zapytał tylko:

— Kto był tego zniszczenia sprawcą?

— Miłościwy panie — odezwał się ubogi kmieć Drzewica — gdybyśmy wiedzieli kto winien, samibyśmy go ukarali. bo za nasze bogi ująć się musimy. Wy, Miłościwy kniazju, wiecie wszystko, każcie śledzić i ukarać, pomożcie nam!

— Słuchaj Drzewico — odparł Mieszko — a mocne były bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny, że grad na było zesłać mogą....

— Za cóż na was mścićby się mieli, kiedyście wy niewinni — odparł Mieszko, a jeżeli potęgę i siłę mają, to się sami nią obronią i pomśczą.

Na ostatek dodał, że winowajcy nie ma, sprawiedliwości więc być nie może. Bogom trzeba zostawić pomstę, oni niech winowajcę swemi piorunami zabiją. Wtem z pomiędzy gromady wystąpił Wargę, z włosem roztarganym, rozpalony jak w gorączce i krzyknął śmiało:

— Co tu szukać winnego? alboż my nie wiemy, kto przeciw nam i bogom naszym powstaje? Namnożyło się tych, co obcą wiarę do nas przyнося. Nie kto winien tylko oni, ich karać, gubić i wypędzić! My sobie krzywdy wyrządzić nie damy, a jeśli nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją sobie zrobimy.

Mieszko popatrzył na mówiącego i skinął na komorników, aby go wzięli. Cała gromada oniemiała.

— Znam cię stary — rzekł — tyś raz już dwór w Krasnéjgórze podpalił. Puszczono cię na wolność, ale teraz sprawiedliwość ci wymierzym.

Gdy komornicy zbliżyli się do Wargi, cała gromada szemrać i prosić za nim zaczęła. Mieszko kazał go puścić, ale tak groźnie spojrzał na niego, że dziad słowa nie rzekłszy, znikł gdzieś w tłumie.

— Sprawiedliwości wam nie dam, bo nie ma nad kim jęj spełnić — rzekł książę do gromady, — bogi, jeśli są mocne, obronią się same.

ob  
to i  
do do  
na niko  
oczy niosły.

Mieszko, pomimo  
Dąbrowki, odłożył urocz  
przyszłego roku. Postanowił tymczas  
gromadkę przysposobionych do chrztu  
nowego znamienia pogodzić kraj, który swych da  
wnych bogów oplakiwał.

Z drugiej strony Mieszko szukał sposobności do  
jakiegoś wystąpienia, któreby mu przymierze z ce  
sarzem ułatwiło. Los mją nastroczył.

nie  
Jor-  
ech do  
Górze  
do winnicy

### XIII.

Wieczorem opoda Odry, Mieszko, Sydbor i dwaj  
dowódcy stali od rana w pogotowiu.  
Wiedziano tu o Wigmanie, o Wolińcach, o ich  
sile. Książ rano wstawszy, jazdę Czechów z dwóch  
stron na boki wyprawił i polecił dowódcom, by  
się dopiero na skinienie i hasło ruszyła.

Na wysokiej sośnie siedząc pachole czatowało, by oznajmić, gdy się spodziewani Wolińcy ukażą. Ludzie Mieszka niecierpliwiili się, ale im ruszyć się nie dano. Stać tak mieli, ażby na nich nadszedł nieprzyjaciół.

Nie długo trwało, gdy głośnie okrzyki i wrzawa pochód Wolińców z Wigmanem na czele oznajmiły.

W obozie Mieszka stał się jakoby zamęt umysłny i oddziały jego za gajami jedne po drugich znikwały.

W pogoń puscili się za niemi Wolińcy Wigman, z zapalem niezmiernym na koniu przed nimi. Już byli tylko kilka staj od nieprzyjaciela, gdy na dany znak Mieszkowa piechota odwróciła się na Wolińców i do bitwy stanęła. Z obu stron rzucono się na siebie z straszną zajadłością... świsnęły strzały, posypały się pociski. W téj chwili, gdy jeszcze Wolińcy pewni byli zwycięstwa, na odgłos trąbki Sydbora wystąpiły z lewój i prawej strony z zarośli dwa czeskie oddziały jazdy. Zatętniała ziemia pod kopytami koni, i zanim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotę a konnicę czeską. Z drugiej strony oddział Sydbora kładł trupem Wolińców, zaczynających w nieieczce szukać ratunku.

Wigman stojąc konno na wzgórzu widział, że bitwa była przegrana, i już konia zwrócił, chcąc uciekać, gdy nagle stanął przed nim dowódzca

Wolińców z iskrzącemi oczyma, ze skrwawioną twarzą i poszarpaną odzieżą.

— Ha! — zawołał — dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń ztąd uniesie!

Wigman poczerwieniał, w pierwszej chwili chciał przeszyć mieczem zuchwałego starca, powstrzymał się jednak, drgnął i skoczył z konia.

Z dobytym mieczem poszedł gdzie wrzała bitwa.

Koń jego, spłoszony wrzawą, nie dał się też powstrzymać nadbiegającemu giermkowi i cwałem w las pobiegł.

Wigman w ciężkiej zbroi pozostał pieszo. Otoczyła go natychmiast piechota Mieszkowa, a on wraz z kupką Wolińców walczył zajadłe. Od żelaznej zbroi jego odskakiwały miecze, kruszyły się oszczepy. Walka ta trwała do wieczora. Następowali Polanie na Wigmana i tych, co przy nim byli, ale go ująć ani zabić nie mogli. — Zmniejszała się gromadka jego towarzyszy, wołano nań, aby się poddał, lecz dumny krewniak cesarski wołał zginąć, niż temu tłumowi oddać oręż i życie na łaskę... Wreszcie udało się Wigmanowi ukryć w gęstwinie lasu.

Nadeszła noc ciemna.

Jeszcze w około słychać było głosy tych, co go szukali, ale wkrótce ucichły. Wigman padł na ziemię, na pół żywy. Ostrza kilku włóczyń tkwiały w kaftanie i krew z pod nich sączyła.

Leżał tak dość długo, wreszcie ocknął się, wstał, i oparty na mieczu szedł szukać jakiego schronienia. W lesie cisza była głucha, przerywał ją tylko szum wiatru i świegot ptastwa nocnego.

Szedł tak dość długo, odpoczywając pod drzewami, gdy nagle ujrzał zdala jakieś światło. Idąc za niem, przyszedł niebawem do dość okazałej zagrody, otoczonej ostrokołem i płotem z gałęzi.

Gdy się do chaty zbliżał, psy ujadać zaczęły. Z siermięgą zarzuconą na plecy wyszedł gospodarz drzwi otworzyć. Już dzień zaczynało, więc z podziwieniem spojrzał na zranionego przybysza w zbroi, lecz powitał go i wprowadził do izby, bo gościnność główną była cnotą u Słowian...

Wigman, nie obejrawszy się po izbie, upadł na ławę i ręką wskazał, aby mu pić podano. Przyniesiono mu wody, lecz z ledwością się trochę pokrzepił; znów się na podwórku straszna wszczęła wrzawa.

Wigman usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, chciał wstać, ale sił już nie miał.

Wtem na progu izby ukazali się ścigający niedobitków ludzie Mieszka, kilku prostych ciurów. Z podniesionemi palkami i okrzykiem radości otoczyli Wigmana, wołając aby się poddał.

— Ja?... Wam, nigdy... niech tu przyjdzie wasz kniaź, jemu tylko mój miecz oddam...

Wigman słabł widocznie, lecz oczy jeszcze mu groźnie błyszczały.

Wtem do izby wkroczył Sydbor, po którego jeden z ciurów pobiegł do lasu.

— Poddaj się, lub zginiesz! — zawołał.

— Kto ty? — zapytał Wigman. — Brat jestem Mieszka.

— Więc oddaj bratu ten miecz zwyciężonego Wigmana — rzekł słabym głosem rycerz, podając miecz Sydborowi — i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swemu, cesarzowi Otonowi; on wdzięczny mu za to będzie... wynagrodzi go pewno!.... A teraz dajcie mi umrzeć spokojnie.

Potem padł na kolana na ziemię... modlił się długo i gorąco. W téj przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili i z trwogą i poszanowaniem od niego. On nie widział już nikogo, ze krwią razem lzy mu płynęły, modlił się długo, wreszcie zsunął się powoli na ziemię i skonał.

Tak ukończył ten warchoł niespokojny, który z Geronem razem tak często napadał na Słowian.

Naprzeciw chaty słowiańskiej usypano mu mogiłę, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz, dowiedziawszy się o śmierci jego, kazał w Regensburgu uroczyste nabożeństwo za duszę jego odprawić.

#### XIV.

Mieszko, po swym zwycięskim powrocie z wyprawy nad Odrę, zastał Dąbrówkę niecierpliwie oczekującą wprowadzenia wiary chrześcijańskiej do kraju. Dąbrówka co chwilę się spodziewała, że



nareszcie krzyż zatknięty ostanie na murach wznoszącego się z kamieni i cegły kościoła, nad którym sprowadzeni z Czech rzemieślnicy pilnie pracowali. Im bardziej jednak zbliżała się ta chwila, tem bardziej Mieszko ociągał się i krok stanowczy odkładał. Ile razy wyjechał na łowy i spotkał w drodze lud chmurny, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, powracał jakby niepewny i wahający się znowu, a gdy kniahini pytała go o chrzest ów zapowiedziany, uroczysty, nie jój nie odpowiadał.

X. Jordan, wzywany do narady, radził czekać i nie nalegać — zdalo mu się, że sama potrzeba przymierza z cesarzem niemieckim zmusi Mieszka do chrztu i otwartego krzewienia wiary chrześcijańskiej.

O ile X. Jordan był cierpliwy, o tyle Dąbrówka się zżymała, zwłaszcza, że z Czech przychodziły ciągle zapytania, kiedy się chrzest i ślub uroczysty odbędzie i ogłoszenie wiary chrześcijańskiej nastąpi. Jój staraniem nawrócona już została Górka, a za nią poszedł niemal cały dwór jój z wyjątkiem Jarczychy, która uciekla najprzód do Krasnejgóry do wychowawca, a tam znalazłszy wszystko, do niepoznania zmienione, z płaczem schroniła się gdzieś do lasu.

Przez całą zimę trwało naleganie ze strony kniahini i milczenie uparte Mieszka. Gdy on obojętnie jakoś czekał i zwlekał, jój wysłańcy pokryjomu obalali posągi, palili kontyny i po nocach krzyże zatykali.

Zima była ostra w tym roku, Mieszko jednak jeździł codziennie na łowy. Gdy raz z takich łowów powrócił późno w nocy na zamek, zastał w komnacie swój czekającego nań Dobrosława. Zdziwiony Mieszko zapytał zaraz, czy się co we dworze nie stało.

— Miłościwy panie — rzekł Dobrosław, skinawszy wprzód na komorników, aby odeszli — nasza kniahini wybiera się w drogę...

— Dokąd? kiedy? — zapytał Mieszko.

— Przyjechał z Pragi poseł, nie wiem, co przywiózł z sobą... kazano wszystko do podróży sposobić.

Pomimo spóźnionej pory, Mieszko udał się natychmiast do dworca Dąbrówki. Tu zastał wielki zamęt i krzątania. Niewiasty pochowały rzeczy w skrzynie, kniahini, ubrana jak za dnia, rozkazywała i do pospiechu wzywała.

Mieszko wszedłszy, zapytał zdziwiony, co to wszystko znaczy.

— Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli — rzekła Dąbrówka smutnie, patrząc na męża. — Wrócę do rodzicielskiego domu, dłużej tu pozostać nie mogę... Wstyd mi, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, żem żoną twoją... Wobec chrześcian córka Bolesława jest tylko ulubienicą twoją, jak te, co tu dawniej były... Wolę powrócić do domu, niż cierpieć tu dłużej ten wstyd i hańbę.... Pojadę do domu — powtórzyła.

Mieszko stał przez chwilę niemy z podziwienia, a potem zawołał:

— Nie pojedziecie! musieliby po was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej was nie puszcę.

— Ucieknę, a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę... — odparła Dąbrówka.

Kniaź ramionami wzruszył i zadumał się.

— Słowo dalem i dotrzymam — rzekł — wiem co czynię.

— Miłościwy panie, wiem czego żądam... czekałam z pokorą, czas albo mnie nazwać żoną, lub opuścić ze wstydem.

Kniaź przystąpił do płaczącej Dąbrówki i rzekł:

— Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie reszta kontyn i w Gnieźnie krzyż zatknijemy!

Dąbrówce oczy radością zajaśniały.

— Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze, przysięgnij! — zawołała.

— Przysięgam! — rzekł Mieszko.

Od tego dnia rozpoczęły się przygotowania do wielkiej uroczystości.

Posłowie czescy odprawieni zostali z powrotem do Pragi, lecz na tę uroczystość powrócić mieli i przywieść z sobą świątobliwego kapłana Bohowida, który chrztu uroczystego Mieszka miał dopełnić.

Tymczasem w Gnieźnie nad częścią wznoszącego się na zwaliskach kontyny kościoła kończono dach pospiesznie, aby w tej pierwszej świątyni odbyć się mógł obrząd chrztu św. X. Jordan, Ojciec Mateusz i inni duchowni z Czech przybyli

zbierali tymczasem przygotowujących się nowonawróconych, ażeby jak największa ich liczba razem z kniazem do chrztu stanąć mogła.

## XV.

Z pierwszym skowronkiem po roztopach wiosennych przybyło poselstwo czeskie i Bohowid staruszek, który dawne pamiętał czasy. Mieszko i Dąbrówka przyjęli go z czcią wielką.

W pierwszych dniach marca dwór cały, wojsko i ci którzy chrześcianami zostać chcieli, wyruszyli do Gniezna.

Poczet był uroczysty, powolny, wspaniały, lecz drogi, któremi ciągnął, puste. Na widok bowiem orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty, ludzie z pól uciekali i kryli się po lasach; dopiero na zamku w Gnieźnie waly i dworce pomieścić nie mogły tłumów. Wszystko, co pragnęło nowej wiary, władcy, ziemianie, wojsko, wreszcie z ludu namówieni od panów, zbiegło się tutaj.

Gromadami stojących do koła grodu, kropili kapłani wodą i nowe imiona im dawali. Dostojniejszych Czesi i Dąbrówka do chrztu trzymali. Na ostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem Mieszko ochrzczonym został przez Bohowida i pobłogosławionym wraz z Dąbrówką. Sydbór i Górka przyjęli także chrzest św. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem nowego

kościół błyszczał krzyż wzniesiony wysoko, który odtąd téj ziemi miał przyświecać.

Zdawać się mogło obcym, patrzącym na ten spokój i ciszę, że nigdzie może z większą uległością nie zmieniono wiary od wieków wyznawanej. — Mieszko jeden wiedział, co znaczyło to milczenie.

Ponieważ w głąb kraju nie łatwo było dosięgnąć dla obalenia balwanów po lasach i polach wzniesionych, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanymi krzyżami wyruszyć miały do zakątków pogańskich i tam wnieść godło wiary.

Włast z chęcią ofiarował się za przewodnika do tych apostoelskich wycieczek. Z Gniezna wyjechał zaraz do Krasnej Góry, aby się przysposobić w tę drogę.

Jadąc tą samą drogą, którą wczoraj pochód księży przybrał był w uowe krzyże, Ojciec Mateusz z smutkiem przekonywał się, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone, zbezczeszczone, ludzie się nigdzie nie pokazywali.

Z bolesnem w duszy wrażeniem przybył Włast do swego nowego dworu. Tu powitała go serdecznie siostra, która teraz ochrzczona Hanną się nazywała i Jarmirz już z nią zaślubiony, na chrzcie św. nazwany Andrzejem. Zasiedli wszyscy do wieczerzy i Ojciec Mateusz opowiadał im obszernie o wczorajszej uroczystości, gdy w tem na podwórzu psy gwałtownie czekać poczęły. Jarmirz wyszedł z izby zobaczyć co to znaczy.

Po małej chwili powrócił blady i drżący wołając:

— Uciekajcie! Dwór otaczają gromady ludzi, które z lasu ciągną w milczeniu, parobcy pouciekali, nie ma nikogo do obrony.

Przeżegnawszy się, Ojciec Mateusz wstał od stołu i wyszedł z Jarmirzem na podwórze. Tam już stały całe gromady ludu, a na ich przedzie kilku dziadów, pomiędzy którymi znajdował się także Warga. Zobaczywszy go Jarmirz, pobiegł ku niemu i zawołał:

— Czego tu chcecie?

— Przyszliśmy na wasze nabożeństwo — odparł groźnie stary — a że ciemno, poświecimy wam do niego.

— Zniszczyć to gniazdo! z dymem ich puścić! — krzyki się groźnie rozlegały.

Ojciec Mateusz posłuchał chwilę, uściśkał przełkłą siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem, oczekując śmierci.

Wtem z kilku stron dworu błysnął ogień, dym duszący w izbach czuć było. W tej strasznej chwili Jarmirz przypominał sobie jamę, w której niegdyś ojciec więził Własta. Pobiegł więc do niego modlącego się w kaplicy i z trudnością zdołał go odciągnąć od ołtarza i uprowadzić. Tak więc wszyscy troje, niepostrzeżeni w ciemności, spuścili się do tej kryjówki, tyle Włastowi pamiętniej.

Gdy Jarmirz, narzuciwszy mokrą słomę na drzwi, zapuścił je na jamę, w ciemności tej zam-

knieci nie zrazu nie słyszeli... wpadli jakby w grób... Włast do modlitwy zachęcał. Kłękli więc wszyscy i w gorącej modlitwie prosili Boga o pomoc.

Zdala dochodził ich jakiś szelest, Jarmirz poznał, że to szum ognia pochłaniającego jeden budynek po drugim. Gdy belki zaczęły spadać z góry, ziemia się kilka razy zatrzęsła. Powietrze robiło się duszne i ciężkie. Hanna z płaczu i trwogi zemdlala. Włast się modlił, Jarmirz do wrót jamy się przyczepiwszy śledził postęp pożaru. Przez szpary przeciskalo się światło i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał. Śmierć szybką zmienili tylko na powolną męczarnię. Włast myślał o duszy nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę i szwagra, modlił się za nich i za siebie.

Kilka krokwi niedopalonych runęło na wrota i posypało je ognistemi węglami. Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż teraz już oddychać nie mogli. Włast z czołem opartem o ziemię stracił wreszcie przytomność, Hanna leżała bez zmysłów.

Zrozpaczony Jarmirz barkami podniósł nieco wrota, aby wpuścić powietrza. Zamiast tegoż wpadł gryzący dym do jamy. Trzymając tak ten ciężar nad sobą, Jarmirz mógł się przysłuchiwać. Krzyki zdawały się oddalać... Nie było słyhać żadnego głosu oprócz trzaskania dopalających się belek i szumu wiatru. Dym rozszedł się nieco, powietrze wpłynęło do lochu, aby ocucić omdlałych.

Wreszcie odważył się Jarmirz wyjść z jamy. W około panowała głęboka cisza, dwór cały leżał

w gruzach, ale tłumy pogańskiego ludu rozbiegły się znów po lasach, pewni, że zamknięci we dworze chrześcijanie zginąć musieli w płomieniach.

Istotnym cudem męczennicy zostali ocaleni. Lecz mogliż uważać się już za bezpiecznych? — Na pogorzelisko łatwo złoźnicy powrócić mogli, a uchodzić z niego do lasu, groziło dostanie się w ich ręce.

Jarmirz poszedł do studni, nabrał wiadro wody i pospieszył do jamy otrzeźwić Własta i żonę. Ale oni już byli ocuceni. Włast stał z rękami założonemi i wołał:

— Cud uczyniłeś Panie, abys nawrócił niewiernych, abys złych zawstydził... Cud uczyniłeś Panie, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego Imienia Twego!

Zaczęli naradzać się, co teraz począć, gdy nagle rozległ się tentent koni, i na pogorzelisko zajechał oddział ludzi z grodu nad Cybiną, wysłany, gdy łuna pożar zwiastowała. Ludzie ci zaraz zsiadłszy z koni, pomogli wydobyć z jamy Własta i Hannę na pół żywych, ale ocalonych.

Lecz jakież było zdziwienie Własta i wszystkich, gdy otoczony główniami gorejącemi dokoła, ujrzeni ołtarz kapliczny od płomieni nietknięty i na nim krzyż nie obalony, świecący z daleka. Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych trojga ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach.

Włast z siostrą i szwagrem pobiegł klękając przed tym ołtarzem. Ludzie z zamku przybyli, świeżo nawróceni, klękli przejęci trwogą i modlili



się razem z nimi. Widok tego znamienia nowój wiary, ocalonego z płomieni, upewnił wszystkich o potędze nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ujawszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, Włast z siostrą i szwagrem pojechali z ludźmi kniaziowymi do grodu nad Cybiną.

Dniało już, gdy wjechali do lasu; Włast z świecącym krzyżem w ręku na przedzie. Zaledwie kilka staj ujechali, gdy ujrzeli gromadę ludzi, rozłożoną pod dębami, a pomiędzy nimi Wargę, który pierwszy spostrzegł jadących.

Stary wróżbita oniemiał z przerażenia na widok Własta, z krzyżem w ręku. Był pewnym jego śmierci... bo strzeżono palącego się dworu dokoła, żeby się nikt z niego wymknąć nie mógł. Sądząc więc, że to upiór, starzec krzyknął i zakrywszy oczy w las uciekać począł, a za nim cała gromada. Orszak wiodący Ojca Mateusza pociągnął powoli ku Poznaniowi.

\*

\*

\*

Upłynęło lat kilkanaście od opisanych wypadków. Potęga Mieszka wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne; po całej ziemi Polan przebiegali kapłani dla nawracania pozostających jeszcze w ciemnocie pogaństwa ludzi. Ojciec Mateusz był wszędzie z nimi, a językiem rodotwitym i sercem braterskim przemawiając do ludu najwięcej dusz dla Chrystusa zyskiwał.

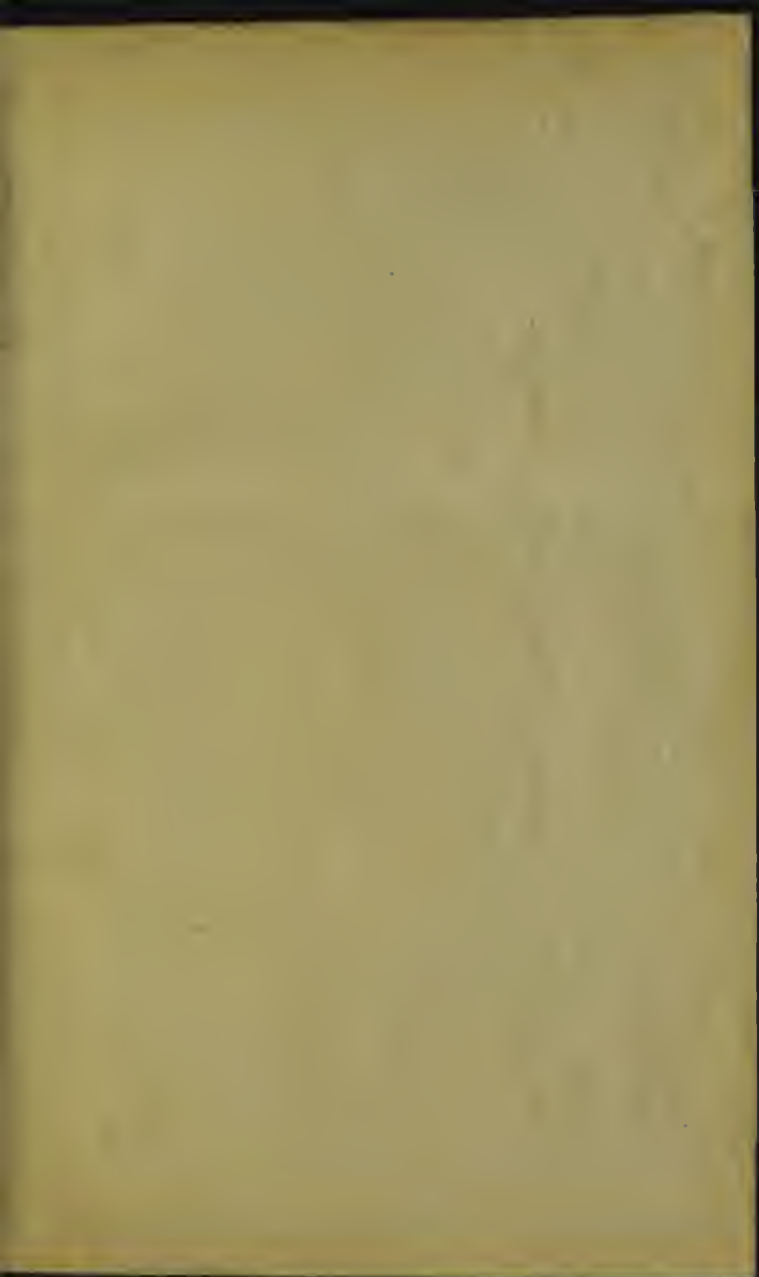
Pierwszy ten kapłan, apostoł, nie dobijał się o świetne stanowisko w hierarchii kościelnej, ani pragnął sławy rozgłosu. Całą majątność swoją oddawszy siostrze i jej mężowi, Włast wymówił sobie tylko to miejsce, na którem stał dwór ojcowski i na nim kościółek wystawił. Do tego kościółka przybywał często z Poznania, gdzie przy biskupie Jordanie pozostawał do pomocy, i w nim na modlitwie wiele spędzał godzin.

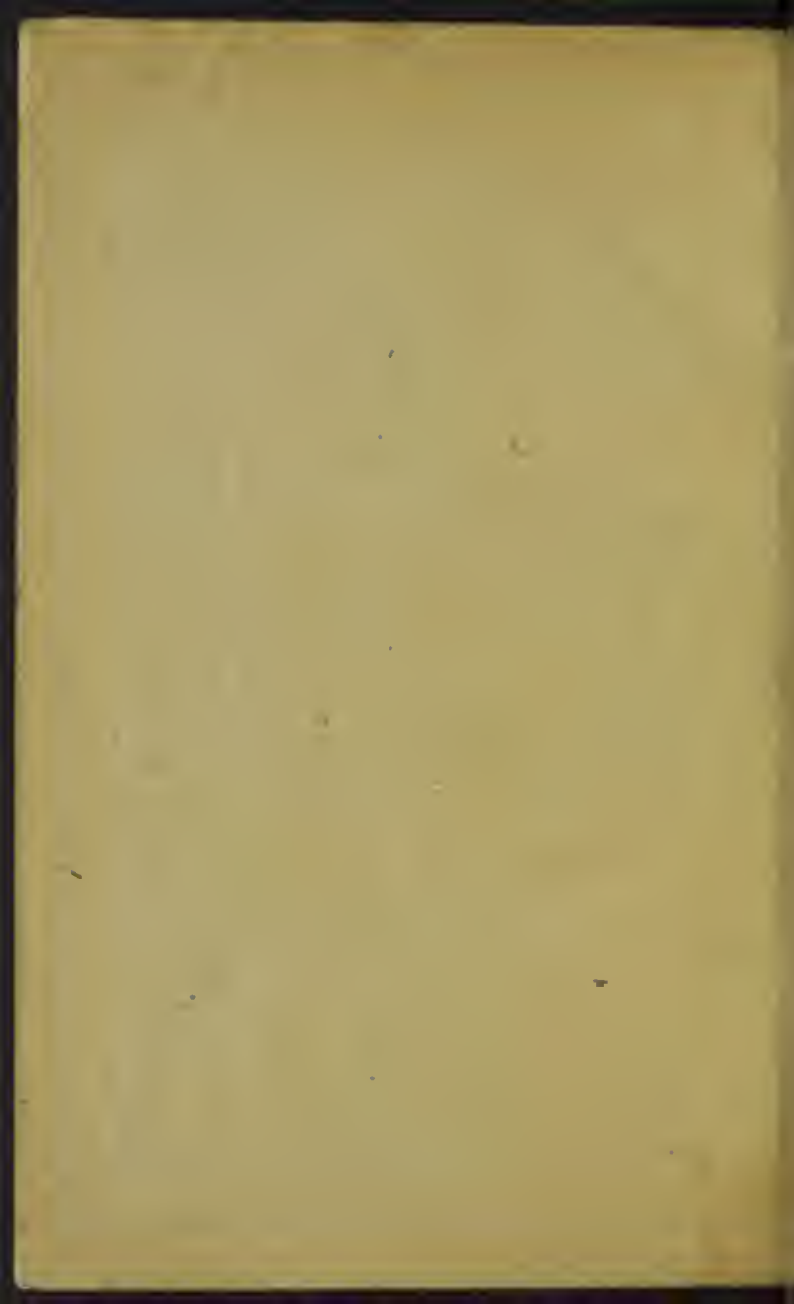
Jednego wiosennego dnia, około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniej, a czeremchy miłą woń roztaczały, Hanna wszedłszy do kościoła, ujrzała brata krzyżem leżącego przed ołtarzem. Siostra podszedłszy ku niemu ujęła go klękawszy za rękę.

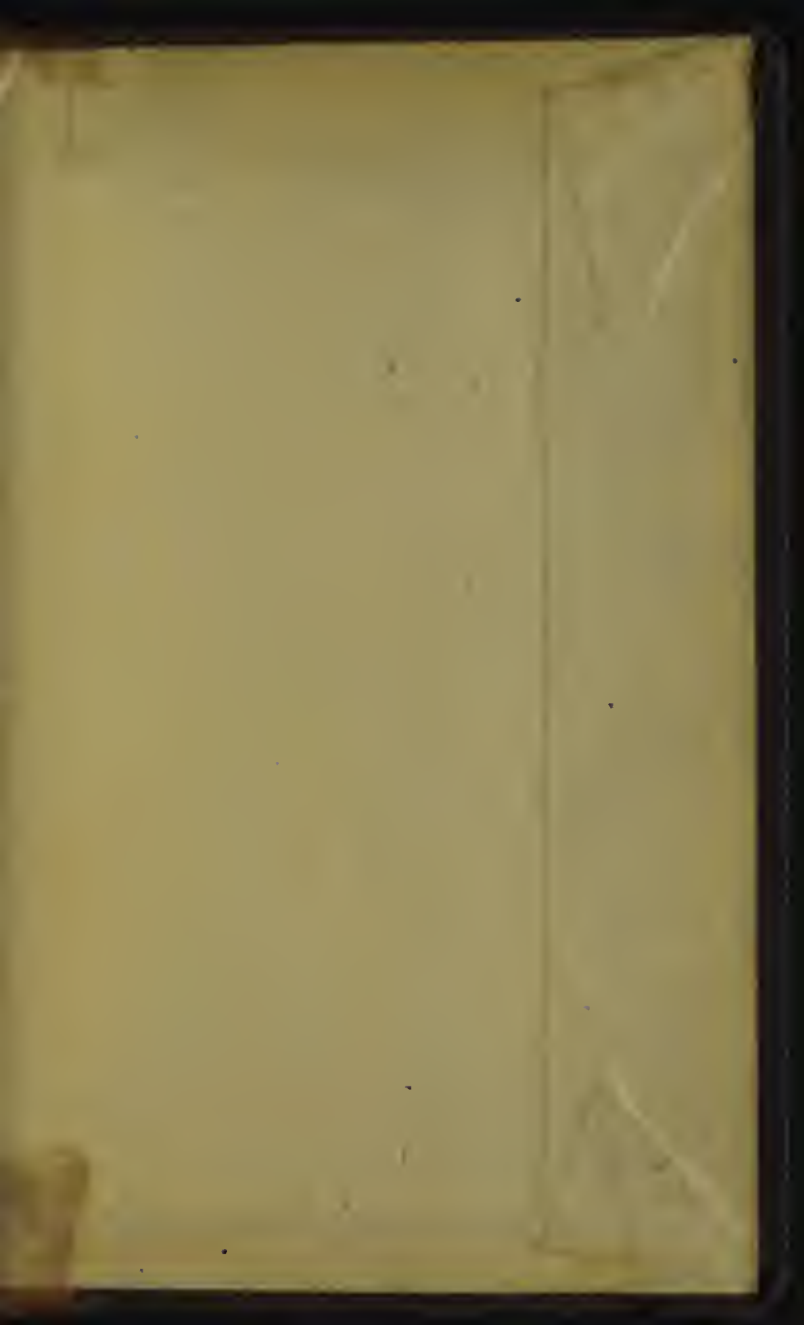
Ręka była jak lód zimna. Ojciec Mateusz nie żył...

Skończył życie na modlitwie, leżąc krzyżem. Na bladej twarzy jego widniał wyraz uszczęśliwienia, usta zamknięte uśmiechały się spokojnie.









Biblioteka Raczyńskich

**JK 1205**



**JK1205**